

Dziś w numerze: ● **Borys Pasternak o Majakowskim** ● **Trzynasty lew jest czarny** ● **Kult węża** ● **Bohaterowie wielu imion** ● **Krokodyle w Ghanie** ● **Recenzje** ● **Felietony** ● **Polonica**

odgłosy



Nr 13 (427)
2. IV. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

BOGDA MADEI

ALARM na JEZDNI!

...Natarczywy dźwięk telefonu. Wszyscy jak na komendę odwracają głowy w stronę dyżurnego: Zrozumiałem, zaraz tam będziemy — szybko odkłada słuchawkę. Milicjanci już sięgają po płaszcze... — Kilińskiego 21. samochód potrącił dziecko.

Radiożółty pędzi na miejsce wypadku. Jest godzina 21.30.

Spory tłumek gapiów, kręcących się nieostrożnie po jezdni, wskazuje miejsce wypadku. Obecny już tutaj dzielnicowy funkcjonariusz MO odesłał chłopca do pogotowia taksówką, która go potrąciła. Świadkowie zaczynają opowiadać nie pytani, wersję jest prawie tyle, co osób. Jakis podekscytowany obywatel stanowczo twierdzi, że po wypadku kierowca chciał uciec i że właśnie on w pojeździe go zatrzymał. Milicjanci wymierzają jezdnie, szybko szkicują plan sytuacji. Jedziemy do pogotowia. Tutaj zastaliśmy kierowcę taksówki, chłopiec jest już w szpitalu. Zdenerwowany kierowca krótko przedstawia przebieg wypadku. Chłopiec przebiegał jezdnię tam i z powrotem, gdyby nie przytomność kierowcy, który w ostatniej chwili skręcił w bok, wypadek skończyłby się śmiercią. Wersje są potwierdzają zgodnie dwaj świadkowie.

* * *

Oto krótka historia jednego wypadku ulicznego, mała cząstka wielkich tragedii, o których w mieście słyszy się każdego dnia. Jak obficie żniwo zbiera śmierć na łódzkich jezdniach donoszą codziennie kroniki wypadków i statystyki milicji.

1.

W ubiegłym roku nastąpił dalszy wzrost motoryzacji. Według niepełnych danych, ilość pojazdów mechanicznych wzrosła o pięć tysięcy. Po ulicach Łodzi krąży 800 autobusów, spora liczba samochodów osobowych, motocykli i innych wehikulów na kółkach. Nieprecyzyjny termin „sporo” nie jest gołym słowem. W 1955 r. na tysiąc łódzian przypadało 2,5 samochodu osobowego. Dziś wskaźnik ten sięga ponad 18 samochodów; przewiduje się, iż około 1970 r. liczba ta wzrośnie do 35 samochodów na tysiąc łódzian.

Szybko rosnące liczby mogłyby właściwie cieszyć, gdyby w ich cieniu nie kryły się inne, też o tendencji rosnące.

I tak na przykład w roku 1966 zanotowano 489 wypadków drogowych, w których poniosły śmierć 34 osoby, w tym 7 dzieci. Ciężkie rany odniosło 428 osób, w tym 111 dzieci. I tej smutnej statystyce ciąg dalszy: 300 rozbitych i uszkodzonych samochodów, straty materialne — milion dwieście tysięcy złotych. W stosunku do roku 1965, wskaźnik wzrostu zarejestrowanych na terenie Łodzi pojazdów mechanicznych wynosi 12 proc., wzrost wypadków — 6,5 proc i szczególnie niepokojąca liczba — wśród rannych 42,2 procent stanowią dzieci.

Najwięcej, bo aż 81 wypadków miało miejsce w sobotę, tuż za nią znajduje się poniedziałek z 78, natomiast w niedzielę zanotowano „tyl-

Dalszy ciąg na str. 4



Fot. W. Parys

JERZY URBANKIEWICZ

FABRYKA bez LUDZI

Z pojęciem automatyzacji łączy się dwa obrazy: pierwszy to wyobrażenie schludnego pana w sztywnym kombinezonie, który nudzi się, siedząc w pobliżu guzika lub rzędu guzików, drugi — to kolejka bezrobotnych, z których każdy lub co drugi ogląda się za czymś twarzą, co pomogłoby mu w rozbieleniu automatów, stanowiących przyczynę bezrobocia. W istocie — problem jest o wiele bardziej skomplikowany, skoro zaś automatyzacja stanowi jakiś element postępu technicznego, może lepiej byłoby przyrzec jej się z bliska.

Rzecz sama w sobie nie najnowsza, skoro niejaki Heron w I wieku n.e. opisał około setki urządzeń automatycznych, wprawianych w ruch przez dźwignie, strumień wody, strumień powietrza, — nie uwierzycie — przez parę z gotującej się w kotle wody. Przy użyciu pary otwierał drzwi do świątyni. Zapewne wynalazione przez Herona automaty stosowano w średniowiecznych zamczyskach do otwierania owych tajemnych przejść oraz morderczych zapadnię. Natomiast automatyczne drzwi Herona kojarzą się z automatycznymi drzwiami w niektórych zakładach przemysłowych Polski współczesnej. Jak wiadomo, wprowadziliśmy w nich klimatyzację. Aby zaś ciepło

stworzyć maszynę samochodzącą „bez pomocy pary, albo innej siły”. Nic z tego chyba nie wyszło, bo i innym się nie udało. Mieszkali tu również dwaj bracia Kaczyńscy, na Wólczuńskiej. Ich zamierzenia nie były wprawdzie tak daleko idące, ale dali światu dwie rzeczy konkretne: Franciszek Kaczyński wynalazł materiał na podkowy tak dobry, że można było jeździć na nich dwa lata (nie wiem tylko, czy hufale wytrzymały), natomiast Jana Kaczyńskiego można by z powodzeniem wisać na listę specjalistów w dziedzinie automatyzacji, skonstruował bowiem „ostrzegacz do selfaktorów” tak pomyślny, że jeśli ktoś dotknął takiej części, że mógł się pokaleczyć, maszyna stawała.

A w ogóle w świecie — automatyzacja towarzyszyła rozwojowi techniki, początkowo nieśmiało, jednak coraz śmiało. Już w 1933 r. latały samoloty z automatycznym pilotem, a ostatnia wojna, czy raczej przemysł z nią związany, dokonał w tej dziedzinie przewrotu. Może to zresztą nie tak łatwo określić, w którym momencie dokonuje się przewrót. Przewroty w przemyśle i nauce nazywano rewolucjami przemysłowymi. Tę rewolucję, której my jesteśmy, lub będziemy świadkami, Norbert Wiener („Cybernetyka i społeczeństwo”) nazywa drugą i łączy ją z odkryciem i wykorzystaniem lampy elektronowej.

„Jeśli chodzi o jej potencjalne znaczenie, lampa elektronowa na pewno należy do innej rewolucji przemysłowej niż ta, która opierała się na wykorzystaniu energii, a jednak dopiero teraz prawdziwe znaczenie wynalazenia lampy elektronowej zdolał sobie uświadomić na tyle, żeby nasze czasy uznać za okres nowej, drugiej rewolucji przemysłowej”.

Są autorzy, którzy obecny rozwój automatyzacji nazywają początkiem trzeciej rewolucji przemysłowej lub — rewolucji naukowo-technicznej, łącząc pojęcie pierwszej z maszyną parową, drugiej — z upowszechnieniem elektryczności,

Fakt jednak pozostaje faktem, że stoimy u progu, a może już za progiem. Epoki automatów, czego tysięczne dowody spotykamy na każdym kroku, słysząc codziennie o automatycznych urządzeniach na statkach kosmicznych, o radarze wykrywającym wrogie samoloty, o urządzeniach nakierowujących broń przeciwlotniczą, odpalających we właściwym momencie, o automatycznie działających taśmach produkcyjnych, no i przede wszystkim o maszynach matematycznych, popularnie zwanych mózganiami elektronicznymi, które w istocie są mózganiami tamtych urządzeń, ale kierują ich działaniami z precyzją i szybkością lepszą od ludzkiej.

Ponieważ jednak Czytelników nie namawiam do podróży kosmicznych, ani do udziału w jakiegokolwiek wojnie, proponuję zejście z podniebnych szlaków w dziedzinie, w których spotykamy się z automatyzacją (lub powinniśmy się spotykać na co dzień). A więc przemysł.

Autor amerykański E. M. Grabbe pisze: „Automatyzacja dała nam urządzenia, które widzą lepiej, słyszą lepiej, lepiej dokonują pomiarów niż robotnik. Myślą one i poruszają się nieskończenie szybciej niż ludzie. Nigdy się nie męczą, pracują chętnie 24 godziny na dobę, nigdy się nie mylą, nie odrywają się bezczelnie, są posłuszne i konsekwentne w działaniu, można w pełni przewidzieć, co zrobią. Nigdy nie straszą i nie żądają co roku podwyżki płac, nie stwarzają też żadnych problemów personalnych”.

I teraz pogląd cytowanego już N. Wienera:

„Toteż dziedzinę, które zapewne obejmie nowa rewolucja przemysłowa, są bardzo rozległe i dotyczą wszelkiej pracy związanej z podejmowaniem decyzji na niskich szczeblach, podobnie, jak zastąpienie siły fizycznej w czasie pierwszej rewolucji przemysłowej dotyczyło wszystkich aspektów pracy ludzkiej”.

Dalszy ciąg na str. 3



SWIATA

Chociaż administracja amerykańska skrytycznie ukrywa militarny charakter narady na wyspie Guam, tak jak należało przewidywać, nie służyła ona wcale celom pokojowym. Dwufazowe rozmowy, z których pierwszy etap odbył się z udziałem najwyższych przedstawicieli reżimu sągońskiego, a drugi tylko w gronie polityków i wojskowych Stanów Zjednoczonych — potwierdziły, że Waszyngton zamierza kontynuować i wzmacniać presję militarną w Wietnamie. Wynika to ze słów: „Wojska USA znajdują się przed długim okresem cierpienia i trudów”. To stwierdzenie nie jest znacznie istotniejsze niż oficjalny komentarz Johnsona do narady, zawarty w zdaniu: „Dyskusja waliśmy na temat wielkich problemów, które stoją przed Wietnamem i o postępkach osiągniętych od konferencji w Manili w lutym ub. roku”.

Tak więc narada na wyspie Guam miała charakter spotkania wojennego, a wydobycie w końcowym komunikacie „cywilnych” jej aspektów (zapowiedź wyborów prezydenckich w Wietnamie pld. za cztery, pięć miesięcy, a ustawodawczych wkrótce potem) służy po prostu tuszowaniu istoty rozmów.

Przyznają to nawet komentatorzy amerykańscy. Część z nich jednak, specjalizująca się w wychwalaniu rzekomo pokojowych intencji Johnsona, „powetowała”, sobie natychmiast w inny sposób. Jak już Czytelnicy wiedzą, Hanoi ujawniło treść korespondencji między Johnsonem a Ho Chi-Minhem. I chociaż z listów tych jednoznacznie wynika, że Johnson ani na krok nie chce pójść w kierunku rozsądnego politycznego rozwiązania konfliktu, na lamach wielu gazet amerykańskich zaczęto wychwalać jego dążenie do „ugodowości”.

Na te takich wypowiedzi tym bardziej warto odnotować artykuł redakcyjny „New York Post”, w którym czytamy m. in.:

„Administracja najwyraźniej zaskoczona ujawnieniem treści korespondencji Johnson — Ho, gorączkowo usiłuje przedstawić siebie jako sfrustrowanego orędownika pokoju. Spektakl jest tragicznie komiczny. Czy propozycje Johnsona pod adresem Hanoi były rzeczową ofertą pokojową, czy też twardym ultimatum ze ściśle ustalonym terminem i jeszcze ostrzejszymi warunkami niż poprzednio? Ta druga interpretacja jest niemal nie do odparcia. Odnosi się wrażenie, że ten rzekomy „gest pokojowy” pomyślany został z góry tak, aby został odrzucony”.

Wszystko to razem — wojenne obrady w Guam oraz stanowisko Waszyngtonu, wyrażone we wspomnianych listach — nie otwiera widoków na szybki koniec wojny wietnamskiej. Jeśli jeszcze niedawno można było mieć pewne nadzieje — ujawniona korespondencja pozbawia jej podstaw. Aż do czasu, kiedy „pokojowe” słowa Johnsona oznaczać będą pokojowe dążenia.

Ostatnie dni w świecie politycznym upłynęły także pod znakiem komentarzy na temat wizyty wiceprezydenta USA — Humphreya w Europie zachodniej, a zwłaszcza w Bonn.

Zastanawiając się, czy jest to podróż przygotowawcza do przyjazdu Johnsona, czy też zastępująca tę wizytę — większość obserwatorów uważa, że chodzi raczej o to drugie. „Johnson — pisze bowiem „Washington Evening Star” — nie mógłby być pewny takiego entuzjastycznego przyjęcia, jakiego pragnie”.

Jaki jest powód europejskiej podróży Humphreya?

Podaje się, że rozmowy o układzie, zakazującym rozpowszechniania broni nuklearnej. Jeśli skojarzyć to z wnioskiem USA w „komitecie IT”, aby aż na sześć tygodni przerwać jego obrady, ponieważ Stany Zjednoczone chcą przeprowadzić konsultacje z sojusznikami, argumentacja mo głaby wydawać się prawdziwa. Dla nikogo nie jest jednak tajemnicą, że głównym celem podróży są stosunki amerykańsko — zachodniemieckie. Waszyngton niepokoi się pewnym osłabieniem jego pozycji w NRF, mocniejszymi jak gdyby akcentami w polityce koalicyjnego rządu w Bonn wobec Francji niż Stanów Zjednoczonych. Wiceprezydent przyjeżdża więc ze specjalną misją, co oczywiście nie przeszkadza, aby omawiano także sprawę nieprolifacji, czy też tzw. „nową politykę wschodnią Bonn”. Jednak w tej dziedzinie jego kompetencje są ograniczone. Przypomniała to tuż przed przyjazdem Humphreya „Sueddeutsche Zeitung” w słowach: „Można co prawda prowadzić z nim rozmowy, ale nie rokowania”.

Wreszcie z ostatnich dni odnotujmy jeszcze jedno wydarzenie — wywiad kanclerza Kiesingera dla „Spiegla”. Poświęcamy temu uwagę, ponieważ Kiesinger dał w nim lekcję poglądową, co warta jest owa sławna „nowa polityka wschodnia”. Ze szczerością, godną zapamiętania, stwierdził on, że „uznanie linii Odra — Nysa zaszkodziłoby sprawie zjednoczenia Niemiec, ponieważ w ten sposób status quo zostałby skonsolidowany”. A kanclerz boi się przeciwny jest status quo i tak, jak jego „nieśmiertelny poprzednik nie chce pogodzić się z losem, jaki zaplanował dla powojennej Europy. Co to znaczy — wiemy bardzo dobrze. Jest to pozostawienie otwartej furty dla rewizjonistycznych żądań. Tylko dlaczego Kiesinger próbuje umówić światu, że jest to NOWA polityka?

W. SŁAWSKI

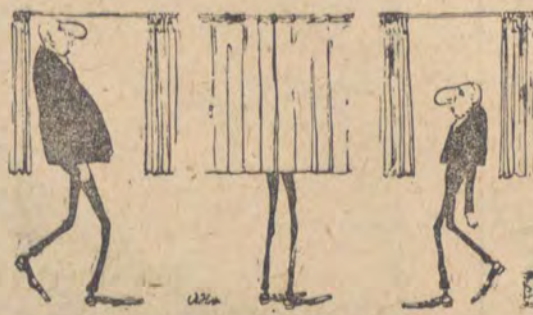
TKRONIKA TYGODNIA

■ Kongresmeni amerykańscy zapowiadają wzmożenie bombardowań terytorium DRW. Senator Dirksen powiedział po rozmowach z przywódcami Kongresu w Białym Domu, że celem ataków amerykańskich będą prawdopodobnie lotniska w pobliżu Hanoi.

■ Miesięcznik „Międzynarodna Żyźń” pisze, iż z analizy historii KPCh wynika, że partia ta już w latach 1942-44, w czasie tzw. „ruchu na rzecz usprawnienia stylu pracy”, dokonała przedstawienia się na ideowo-teoretyczne pojęcie maoizmu.

■ Francja odmówiła udziału w najbliższym posie-

cioi koncepcji pokojowego współistnienia, w istocie rzeczy odszedł od ducha konferencji banduńskiej i stoczył się na pozycje niebezpiecznych awantur”. Jak wiadomo — kontynuuje dziennik — posunięcia te naraziły na szwank interesy Indonezji. Sukarno proklamował jako naczelne zadanie kraju politykę „konfrontacji” z Malajzją, co pochłaniało około 80 proc. budżetu państwowego rocznie. Przywódcy pekijscy szesli jedno państwo przeciw drugiemu, toteż polityka „konfrontacji” całkowicie im odpowiadała. Ekonomika Indonezji załamała się. Specjaliści zaczęli przekłaniać o katastrofie. Propaganda uspokajała opinie publiczną. Kraj staczał się



Z ostatnich wyborów: — Coś się zmieniło między pierwszą a drugą rundą. (News Week)

dzeniu Rady SEATO, która ma odbyć się w Waszyngtonie w drugiej połowie kwietnia br.

■ Na Kuby zniesiono z dniem 16 marca br. opłaty za wstęp na wszystkie krajowe imprezy sportowe. Ludność będzie mogła uczestniczyć bezpłatnie również w niektórych międzynarodowych imprezach sportowych rozgrywanych na terenie Kuby.

■ Radziecki dziennik „Komsomolskaja Prawda” zamieścił artykuł poświęcony aktualnej sytuacji w Indonezji. Podkreślając niewątpliwie zasługi b. prezydenta Sukarno dla Indonezji, pismo zwraca równocześnie uwagę na fakt, iż od pewnego czasu Sukarno „zaczął występować prze-

ku przepaści, a prezydent perorował na temat rozkwitu. Wykorzystując sztucznie stworzoną w kraju sytuację reakcja zadala dotkliwy cios Komunistycznej Partii Indonezji, wszystkim siłom postępowym. Na Wyspach Indonezyjskich polala się krew patriotów... Przyszli historycy ocenia, jak daleko siega osobista odpowiedzialność doktora Sukarno za to, co wypadło przeżyje Indonezji.

■ Amerykańskie instytuty badania opinii publicznej przeprowadziły sondaż ankietowy w Kalifornii na temat ewentualnych kandydatów na stanowisko prezydenta w wyborach 1968 roku. Aż 85 proc. wyborców wymieniło nazwiska tylko dwóch ludzi: Ronald Reagana i Roberta Kennedy'ego, przy czym 44 proc. głosowało na Kennedy'ego. Wszyscy pozostali kandydaci a między innymi Johnson i Nixon są uważani za „nadających się” zaledwie przez 12 proc. ankietowanych.

■ Combat: „Bonn i Pekin nie utrzymują stosunków dyplomatycznych, co nie przeszkodziło Republice Federalnej w zajęciu, bez zgłoszenia, pierwszego miejsca wśród zachodnioeuropejskich partnerów handlowych CHRL. Obroty chińsko-niemieckie, które jeszcze w roku 1964 wynosiły 300 milionów marek potroiły się w roku 1966 do 900 milionów. Jest to wzrost tym bardziej godny

uwagi, że handel między Chinami a Europą poważnie osłabił w ostatnich latach.

■ Jugosłowiański tygodnik „Komunist” pisze, że informacja między krajami socjalistycznymi powinna być jawna i otwarta. W tej dziedzinie — pisze pismo — tkwią pewne przeżytki starego, które stają się przeszkodą dla „wolnych tendencji myśli socjalistycznej”.

■ Ponad 3/4 ankietowanych ostatnio obywateli NRF i Berlina zachodniego wypowiedziało się za uznaniem NRD jako drugiego państwa niemieckiego. 78 proc. odpowiedziało przecząco na pytanie: czy zjednoczenie kraju uważam za najistotniejszy cel polityki niemieckiej. Komentując powyższe wyniki dziennik „Spandauer Volksblatt” pisze, że przylatująca większość społeczeństwa zachodniemieckiego już od dawna przestała uważać podział kraju jako zjawisko kolidujące z jego interesami osobistymi.

■ Agencja Sinhua informuje, że ekipy lekarzy i pielęgniarek opuszczają obecnie Pekin i inne miasta chińskie, udając się na wieś, w odpowiedzi na apel Mao w sprawie kontynuowania rewolucji i udziału w produkcji. Ekipy lekarskie udzielają pomocy członkom brygad polowych i pędzą razem z nimi ten sam skromny tryb życia. Po pracy razem z chłopami studiuja dzieła Mao Tse-tunga.

■ Monde: Europa pozostaje nadal przecięta na dwoje. Stopniowo konflikt Wschód — Zachód zastępuje inny konflikt: Południe — Północ. Konflikt narodów uprzemysłowionych i zapóźnionych w rozwoju, co stanowi nowe zagrożenie na przyszłość.

■ „Klient ma zawsze rację i klient nie jest nratnym potentem, lecz pożądanym i szanowanym gościem” — oto dewiza jaka zdaniem „Prawdy” powinna zapanować w radzieckim systemie usług. Realizacja tych zasad jest świętym obowiązkiem pracowników sfery usług i jej kierownictwa. Dla człowieka obojętnego, nie umiającego lub nie chcącego abąc o klienta nie ma miejsca w tej odpowiedzialnej dziedzinie działalności.

■ Dziennik „Rude Pravo” pisze, że amerykański ruch antywojenny znajduje się w dalszym ciągu w stadium zastój, i że zasięg jego oddziaływania nie wykracza na ogół poza ramy określonego kręgu postępowej inteligencji, chociaż wojna i jej następstwa odbijają się bardzo ujemnie na życiu całego społeczeństwa amerykańskiego.

■ W Pekinie pojawiły się plakaty informujące o śmierci kolejnego pisarza chińskiego Lo Kwan-wu, który według początkowej wersji miał popełnić samobójstwo, w rzeczywistości zaś został zamordowany przez — jak głosi ulotka — „kontrewolucjonistów”. W jesiennym ubiegłego roku podobny los spotkał Lao-Sze, autora znanego i wydanej m. in. w Polsce powieści „Rikszar”.



Amerykański program walki z ubóstwem. — Kilka miliardów dolarów by wystarczyło. (News Week)

NIEDZWIEDZIE PRZYSŁUGI

Nasza prasa tygodniowa przedstawiła ostatnio dwie propozycje pod adresem Łodzi. Gdybym się z tymi propozycjami zgadzał — nie chwyciłbym za pióro.

W tygodniku „Ekran” profesor Antoni Bohdziewicz wola wielkim głosem, że czas już najwyższy przenieść Wyższą Szkołę Filmową z brzydkiej Łodzi do pięknej stolicy. Profesor, chciałbym to przy pomnieć, wola nie pierwszy raz. Siedem czy osiem lat temu sam się przeprowadził z Łodzi do Warszawy i z okazji tego niezwykłego wydarzenia, postanowił zabrać szkołę ze sobą. Można to rozumieć i tak, że każdy przywiązuje się do instytucji, w której pracuje, więc też chce ją mieć koło siebie. Przypominam sobie argumenty Profesora z tamtych lat. Są bardzo podobne do dzisiejszych. Twierdził on mianowicie m. in., że młodego filmowca czeka na warszawskiej ulicy intelektualna przygoda, nie to co w szarej Łodzi, przygoda, która odbija się korzystnie na jego twórczości. Jak wiadomo, prawie wszyscy reżyserzy i filmowcy wynieśli się do Warszawy, wiadomo też, ile na tym zyskał nasz film. Przez ostatnie siedem czy osiem lat Łódź rozbudowała Wytwórnię Filmów Fabularnych, co nieco robi się dla rozbudowy i pozostałych wytwórni — oświatówki, Semafora, a nawet i dubbingu. Są to, naturalnie argumenty na rzecz Profesora, zwłaszcza, że Warszawa wytwórni filmowych nie ma, ale ma za to znakomite towarzystwo, o które głównie chodzi, jak słusznie zauważono w ostatnim „Żywoicku Literackim”.

Jeżeli więc przyszli filmowcy mieliby spisywać się w Warszawie tak samo, jak spisują się aktualnie, to może lepiej jednak zrezygnować z przygody intelektualnej i tego niezwykłego wiru życia intelektualnego stolicy, na rzecz solidnej roboty w oparciu o „solidne warszawskie przytulenie”.

Przyznam jednak, że daleko więcej poruszył mnie artykuł, opublikowany przez „Tygodnik Kulturalny” i zatytułowany — „10 lat Wydawnictwa Łódzkiego”. Jest to bowiem artykuł, który stawia, delikatnie mówiąc, zagadnienie przyszłości naszego Wydawnictwa na głowie. Szanowny Autor, przezornie nie podpisany, sumuje 10 lat istnienia łódzkiej oficyny i dochodzi do wniosków zgola nieoczekiwanych. Zasługi widzi w wydawaniu prac naukowych i popularnonaukowych, co zresztą w podpiersi wylizaniem szeregu prac, często dużej wartości, często jednak przyczynkarskich, lub tak specyficznie naukowych, że nie mieszczących się w tak zwanym profilu Wydawnictwa, bądź co bądź, w pierwszym rzędzie literackiego. Jeżeli coś Autora niepokoi, to duża liczba tomików poetyckich, satyrycznych i prozatorskich. Tu leży niebezpieczeństwo! Tu też leży pies pogrzebany. Szanowny Autor pisze: „Śledząc zasługi Jubilata, składające okolicznościowo gratulacje, nieprzypadkowo cytujemy owe obawy naukowców przed zaciętkowością i partycularyzmem, przed zbytnią

tolerancją wobec łódzkich prozaików i poetów. A także „warszawskich”. Proporcja poszczególnych działań wydać się bowiem może czasem zachwiana. Bo oto i w roku bieżącym zdecydowana przewaga uzyskuje beletrystyka autorów — łodzian (85 proc.)”.

Patrzcie państwo, co za nieszczęście — prozaicy, satyrycy, poeci piszą dla swojego Wydawnictwa, nie dla Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, nie dla PWN, PWE, tylko dla swojego, założyli przyznają się do swego dzieła! Czyż nie należy wolać o pomście do nieba?

Przypomina mi się w tym miejscu pewna anegdota. Czterdziestu sprawiedliwych chciało ulepszyć świat, założyli wobec tego partię polityczną. Partia czterdziestu to jednak za mało, trzeba więc było przyjąć nowych członków. Przyjęto nowych stu, którzy przegłosowali tamtych czterdziestu i z partii została tylko nazwa.

Losy instytucji wydawniczej i losy środowiska kulturalno-artystycznego, a i literackiego nie mogą przecież przypominać tej anegdoty. To doprawdy aż śmiesznie i nieładnie utrzymywać, jak ów Autor artykułu, że rangę nadają Wydawnictwu naukowcy, których zresztą bardzo wszyscy ceniemy, a na peryferie, do partycularza mogą być zepchnięci pisarze. Pierwsi dali same pozycje krajowego wymiaru, a drugich drukuje się, poza wyjątkami, na zasadzie zbytniej tolerancji. Doprawdy jesteśmy jedną małą dzieci. Oczywiście, ma rację pan Autor, kiedy wylizuje istotnie dużego formatu książki popularnonaukowe, czy nawet polityczne. Przecież jednak można wymienić i „cegly”, wazutkie, specjalistyczne, nie najlepiej napisane z tego samego zakresu. Zapewne profesorem — Baranowski, Missalowa, Nadolski, zapewne Cygański, Ginsbert i inni — to cenne pozycje. Tak samo cenne i znane są książki Karczewskiej, Władysława Rymkiewicza, Gomolickiego, Sztajnera, Papiera, Chrościelewskiego, Safrina, Fijasa, tak samo, jeżeli nie więcej, to zresztą trudno porównywać i nie trzeba, nie godzi się.

Przyszłość Wydawnictwa niekoniecznie powinna polegać na robeniu konkurencji wielu naszym wydawnictwom naukowym, jak to sugeruje Autor. Rozwój powinien polegać, ówszem, w pewnej mierze i na tym, w głównej jednak na czym innym. W drugim 10-leciu należałoby żyć naszej oficynie uzyskania prawa do wydawania przekładów, bo go nie ma, literatury dziecięcej, i wreszcie prawa do wydawania klasyków, chociażby Reymonta na początek, gdyż i takiego prawa nie ma. Wydawnictwo Łódzkie zaczynało jako wydawnictwo literackie, miałoby skończyć jako edytor książek z zakresu wiedzy powszechnej? Miałoby zamykać naukowcom drogę do czołowych wydawnictw naukowych? Myślę, że szanowny Autor oddaje nam iscie niedźwiedzią przysługę.

WIESŁAW JAZDZYŃSKI

FABRYKA BEZ LUDZI

Dalszy ciąg ze str. 1

I nieco dalej:
„Pamiętajmy, że maszyny automataczne, niezależnie od tego, czy przy pisujemy im jakieś stany emocjonalne czy nie, są dokładnym ekonomicznym odpowiednikiem pracy niewolniczej, a każda siła robocza, która chce współzawodniczyć z pracą niewolniczą, musi się zgodzić na ekonomiczne warunki takiej pracy. Jest rzeczą oczywistą, że doprowadzi to do bezrobocia, wobec którego obecna recesja, a nawet depresja z lat trzydziestych wyda się zabawnym żartem”.

Jeżeli tę myśl, która przewija się przez powyższe cytaty logicznie, snulibyśmy dalej, doszlibyśmy chyba do wniosku, że automatyzacja jest ze społecznego punktu widzenia absurdem i szkodnictwem, ponieważ zaś jest ona jednocześnie wyrazem najdalej posuniętego postępu technicznego, należałoby wyciągnąć wniosek kolejni, że postępniejszy jest absurdem i szkodnictwem.

Niedorzeczność ta wynika oczywiście z faktu, że przesłanki takiego rozumowania są fałszywe, ściślej mówiąc — są niepełne, sugerują bowiem rewolucję przemysłową, a więc gwałtowne przejście na automatyzację, co jest chyba rzeczą niemożliwą. Zresztą tu i ówdzie na świecie możemy się spotkać z zadziwiającymi zakładami pracy automatów, nie słychać zaś o „depresjach” spowodowanych automatyzacją.

Aby czytelnika zasugerowanego ewentualnymi złymi skutkami automatyzacji przeciągnąć na tę stronę, oto dwa, pierwsze lepsze przykłady: w fabrykach chemicznych używa się trującego surowca o nazwie benzydyna. W kilku wypadkach u ludzi mających z nią kontakt stwierdzono raka pęcherza moczowego. Tym lub innym skutkiem działania trucizny mają zabobnieć systemy wentylacji, ubrania ochronne i cały szereg innych środków, które jeżeli zawiodą, wędrują człowieka w ciężką, nieuleczalną chorobę. Z benzydyna powinien pracować automat, ponieważ — jeśli mi wolno uzupełnić przytoczony wyżej pogląd E. M. Grabbe'go — automat nie boi się żadnej trucizny, a benzydyna traktuje jak zwykły kawałek papierosa. I drugi przykład: Chaplin dostaje obłędu, wykonując jednostajną pracę polegającą na dokręcaniu wleń takiej samej nakrętki, wleń tym samym ruchem. Automat lepiej wykona jednostajną, ogłupiającą pracę niż człowiek, nie znuży się i nie popadnie w chorobę umysłową.

Dwa te argumenty są nie do od-

parcia. Obok wizji automatyzacji, jako klęski, mamy oto automaty w postaci pokornych sług człowieka, zastępujących go nie wszędzie, ale tam, gdzie to jest korzystne, wchodziących w jego funkcje nie gwałtownie, ale stopniowo. I tak rozumiana automatyzacja jest elementem postępu technicznego, ale jest jednocześnie czymś odrębnym, czymś, czemu poświęca się całe strony encyklopedii i całe kolumny czasopiśm technicznych. 28 grudnia ub. roku Komitet Łódzki PZPR obradował nad wynikami pierwszego etapu prac związanych z przygotowaniem rekonstrukcji przemysłu łódzkiego do roku 1980.

„Dyskutancki — cytuję za „Głosem Robotniczym” — podkreślił niekoniętność niektórych pozycji, stwierdzając, że szczególnie w przemyśle włókienniczym należy więcej uwagi przywiązywać do programu automatyzacji i dalszej modernizacji”.

W opinii tej tkwi krytyka obec-

2^o tu i ówdzie zainstalowano urządzenia automatyczne, ale nie doglądane i nie regulowane przez fachowców przestały działać zgodnie z przeznaczeniem, więc je wyłącza się; w dziedzinie tej istnieje zasada; automat działałszy wadliwie, wykonuje pracę gorzej niż by ją wykonał człowiek. Kto o tym nie wie powie na widok takiego kulejącego automatu: ależ automatyzacja — to bzdura.

3^o Powyższe łączy się bezpośrednio z faktem, że urzędnicy tych nie ma kto doglądać, brak jest bowiem fachowców wyszkolonych w dziedzinie automatyki. Często zakładają się, że inżynier — jakiegoś by to nie było specjalności — powinien się znać na automatach. Ale to nie jest prawda. Genialny technolog, elektryk, czy elektronik może stać bezradny wobec układu regulacji automatycznej, bo tu trzeba specjalisty automatyka. I właśnie naiłgryzej ta sprawa przedstawia się w

ci — tak bywa jeśli wzgląd na zdrowie i bezpieczeństwo człowieka jest ważniejszy od optymalności.

A oto inny problem — spośród setek problemów dostępnych wyobraźni jedynie specjaliści: podatkowcy zakładu na automatyzację. Chodzi tu o to, że czasami przestarzały zakład nie nadaje się do automatyzacji. Niech to wyjaśni pierwszy z brzegu przykład. Chcemy ustalić automatyczną regulację temperatury wody w kadzi, aby wy nosiła stale 90 stopni. Okazuje się jednak, że posiadane urządzenia są w stanie doprowadzić do każdej wody o temperaturze zaledwie 80 stopni. Automatyzowanie bez wcześniej szego rozważania, czy zakład w ogóle jest — jak mówią specjaliści — „podatny” na automatyzację, byłoby wyrzuceniem wysiłku i pieniędzy.

4^o wyobraźmy sobie, że w jakimś zakładzie przemysłowym działa jedna z tych komisji, które po-

Konieczność automatyzowania poszczególnych procesów i urządzeń nastrocza się w każdym zakładzie. Nie realizuje się tego, bo nie zawsze jest ten, kto mógłby to zrobić. Skutek — owe wywalane wózkami drzwi (XX-wieczne!) albo — nie pracujący układ automatycznej regulacji w urządzeniu klimatyzacyjnym.

Jeśli temperatura hali produkcyjnej skacze w cieplejsze dni do góry i męczy robotników, automat mógłby stać na straży i regulować temperaturę. Jeżeli osnowa za sucha, traci się na wydajności i na energii — bo najpierw zużyto za dużo ciepła, do przesuszenia osnowy a potem trzeba ją dodatkowo zwilżyć, aby krosno dobrze pracowało. A więc strata i na wydajności i na energii. Na straży tych procesów może stać automat. Przykłady można by mnożyć w nieskończoność, cóż kiedy zakłady są z reguły bezradne.

A jednocześnie mamy mnóstwo nieraz bardzo drogie i cenne aparaty, w większości importowanych za dolary, które stoja często bezużytecznie, w różnych rozrzuconych po całym kraju zakładach i instytucjach. Mamy grupe fachowców i entuzjastów automatyzacji, którzy tkwią w różnych miejscach nie w pełni wykorzystani w tej, tak zaniedbanej dziedzinie. Czasami dwóch takich specjalistów pracuje równolegle nad tym samym tematem, nie wiedząc o sobie wzajemnie i trwoniąc w ten sposób wysiłki. Na przekór ignorancji społeczeństwa — społeczne zapotrzebowanie na automatykę jest duże. Dowodem tego może być zorganizowana przez Łódzki Oddział Polskiego Komitetu Pomiarów i Automatyki (jest organizacja NOTowska) ankietą. O tę całość Polscy zafosili się ludzie najprzeróżniejszych zawodów dostrzegający i rozumiejący konieczność automatyzowania części w dziedzinach, w których pracują. A więc — Huta Szkła, Instytut Badań Jądrowych, zakłady przemysłu elektrotechnicznego, przemysł papierniczy, a nawet Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Ogrodników, czy zakłady zielarskie „Herbapol”. Opracowano w Polsce program automatycznego nastawiania przekładni na stacji kolejowej w ciągu całego dnia. To problem sprawności ruchu i bezpieczeństwa. Obecnie należało by to przepracować i zrobić prototyp dla całego kraju. Kto ma się tym zająć?

Modna jest dziś i konieczna integracja wysiłków w każdej dziedzinie. W dziedzinie tu omówionej panuje idealne rozproszenie tych wysiłków. W Łodzi działa pełnomocnik Ministerstwa Przemysłu Lekkiego do spraw automatyzacji. Zajmuje się temi sprawami Centralne Biuro Techniczne Maszyn Włókienniczych. Małe komórki automatyzacji znajdują się w każdym Centralnym Laboratorium i w Instytucie Włókiennictwa.

Jesteśmy za biedni na takie trwonienie wysiłków. Sytuacja dojrzała do tego, by powołać do życia jakiegoś ośrodek synchronizujący te wysiłki. Dla nikogo nie ulega wątpliwości, że automatyzacja jest nieodłączną od pojęcia nowoczesności w technice.

Czemu więc nie wyciągnąć jej z powłok?

JERZY URBANKIEWICZ



Fot. E. Kudaj

nego stosunku do tego zagadnienia. Krytyka niewątpliwie słuszna. Wyrazem nieprzywzyczajenia wagi do automatyzacji może być choćby fakt, że w lutym br. obradował w Łodzi V Zjazd ZZ Pracowników Przemysłu Włókienniczego. Odzieżowego i Skórzanego i w ciągu dwóch dni obrad i przemówień ani razu nie padło nawet słowo „automatyzacja”, nie traktowano jej widocznie jako problemu ważnego. I niestety, jeśli nie liczyć kilku zapaleńców ze sfery wysoko kwalifikowanych inżynierów, jak dotąd niewiele się u nas robi, by utworzyć automatyzacji drogę do przemysłu. Oto kilka przyczyn podobnej obojętności.

1^o nieznanostwo przedmiotu, a więc niedocenywanie jego znaczenia.

Łodzi, gdzie ani nie ma wydziału automatyzacji przy politechnice, ani też nie ma — jak to jest na przykład w Warszawie — kursów podyplomowych dla inżynierów magistrów, aby mogli pogłębić wiedzę, lub zdobyć tego rodzaju specjalność. A do specjalisty należy pierwsza myśl o automacie, problemy łączące się z pomysłem, konstrukcją, zastosowaniem i doglądaniem urządzeń. A więc specjalista automatyk zaczyna działać w chwili, kiedy trzeba podjąć decyzję, czy dany proces automatyzować, czy nie. Automatyzuje się, jeśli rachunek ekonomiczny mówi, że automatyzowanie będzie korzystne. Albo — że są względy, dla których trzeba wprowadzić automatyzację pomimo jej oczywistej nieopłacalności.

wstały po VII Plenum dla uporzędowania spraw zakładowych i usprawnienia zarządzania. I wyobraźmy sobie, że komisja stwierdziłaby konieczność automatyzowania jakiegoś procesu. Aby to zrobić technolog (nie mający przecież specjalizacji w automatyce) musi skądś uzyskać dziesiątki informacji, które mu pomogą w uzyskaniu właściwego rozważania w sprawie. Nie ma takiego miejsca, nie ma takiej instytucji, do której mógłby się zwrócić i uzyskać owe informacje i pomoc. Technolog musi znaleźć wspólny język z automatyką, a oni obaj nie mogą działać bez opinii ekonomisty pracującego w przemyśle. Wszyscy muszą rozumieć problemy automatyzacji — takich zespołów nie ma!

BORYS PASTERNAK

O Majakowskim

„Nowy Mir” opublikował szkic autobiograficzny jednego z największych poetów naszego wieku, laureata (nie przyjętej) Nagrody Nobla, Borysa Pasternaka, szkic przygotowany początkowo jako słowo wstępne do tomu wierszy, później jednak przededagowany, aby: „dać pojęcie jak w moim wypadku życie przekształcało się w transpozycję artystyczną, jak rodziło się z losu i doświadczenia.” Z tego wzruszającego dokumentu osobowości artystycznej Pasternaka wybieramy niektóre fragmenty poświęcone Majakowskiemu. Wybór nieprzypadkowy. Obok Jesienina, Pasternak i Majakowski po dzień dzisiejszy stanowią najjaśniejsze gwiazdy na firmamencie radzieckiej poezji.

Pewne sformułowania Pasternaka pod adresem Majakowskiego mogą się czytelnikowi wydać krzywdzące, chociaż poeta uprzedza, że oceny jego są subiektywne i stronnicze. Aby jednak zrozumieć ostrość sądów Pasternaka, surowość jego ocen trzeba pamiętać, że jak znowu powiada sam poeta, „oto odszedł w dal

wspomnień, ten wyjątkowy i nie mający sobie podobnego świat... Pisać o nim trzeba tak, żeby zamieralo serce i włosy stawały na głowie. Pisać o nim trwożliwie i banalnie, pisać nie oszalamiając, pisać mizerniej niż przedstawiali Petersburg Gogol i Dostojewski, jest nie tylko bezmyślne i niecelowe, pisanie takie jest podłością i brakiem sumienia.”

K.F.

(Fragment autobiograficznego szkicu „Ludzie i sytuacje”)

Nie będę opisywał stosunków w jakich pozostawałem z Majakowskim. Żyżyłoci nie było między nami nigdy. Jego uznanie dla mnie wyolbrzymiało. Jego punkt widzenia na moją twórczość wypaczał.

Nie lubiłem „Dziewięćset pięćtego roku” i „Lejtnanta Szmida” a ich powstanie uważałem za nieporozumienie. Podobaly mu się oba zbiory „Nad barierami” i „Życie — moja siostra”.

Nie będę przywoływał historii naszych spotkań i poróżnień. Postaram się, na ile potrafię, dać ogólną charakterystykę Majakowskiego i jego znaczenie. Oczywiście, jedno i drugie będzie subiektywnie zabarwione i stronnicze.

Zacznijmy od najważniejszego. Nie mamy wyobrażenia o wewnętrznej udreć, która poprzedza samobójstwo. Pod wpływem tortur na ławce katowskiej, co chwila traci się przytomność, a udreki są tak wielkie, że nie dając się znieść, przybliżają koniec. Ale człowiek poddawany katowskiej kaźni jeszcze nie umiera, tracąc przytomność z bólu jeszcze uczestniczy w swojej aonii, przeszłość należy do niego, wspomnienia należą do niego i jeśli zapragnie, może się nimi

posłużyć, mogą mu być pomocne przed śmiercią.

Zdecydowani na samobójstwo stawiają na sobie krzyżyk, odwracają się od przeszłości, ogłaszają swoje bankructwo a swoje wspomnienia za nieręczyste. Te wspomnienia nie mogą już dotrzeć do człowieka, wesprze go i zbawić. Ciągłość wewnętrznego bytu zostaje naruszona, osobowość zamiera. Prawdopodobnie o akcie samobójstwa decyduje nie wierność powiżtemu postanowieniu, lecz nie do zniesienia rozpacz, nie wiadomo komu należąca, to zadreczenie się własnymi błędami, to jałowe oczekiwanie, którego życie już nie wypełni.

Majakowski wydaje mi się, zastrzelił się z dumy, gdyż potępił w sobie lub wokół siebie coś, z czym nie mogła się pogodzić jego miłość własna. Jesienin powiesił się, nie zagłębiając się w sens swojego kroku i w głębi duszy sądząc, jak przypuszczam, że to jeszcze i nie koniec i nie się jeszcze nie zamyka, że jeszcze na dwoje babka wróżyła. Maryna Cwietajewa przez całe życie pracą ostaniała się przed powszedniością, a gdy uznała, że to zbyt i że ze względu na syna musi na razie złożyć ofiarę ze swej namiętnej pasji, i że musi rozzerzeć się trzeźwo dookoła, wówczas dostrzegła chaos nieprzekształcony przez twórczość, nieruchomy, obcy, przyniatający i odwracający się ze strachem, nie wiedząc gdzie się schronić przed tą okropnością, pośpieszyła w śmierć, włożyła głowę w petle, jak pod poduszkę. Wydaje mi się, że Paolo Jaszwilli niczego już nie rozumiał (...), a nocą, spoglądając na śpiącą córkę, wyobraził sobie, że nie jest godny więcej na nią patrzeć i ranił się poszedł do przyjaciół i dwoma kulami rozbił sobie czaszkę. I wydaje mi się, że Fandiejew z tym uśmiechem wina, który potrafił przenieść przez wszystkie zawłóści polityki, w ostatniej minucie przed strzałem mógł zęgnąć się z sobą może i takimi słowami: „Tak się wszystko kończy. Zęgnaj Sasza”.

Ale wszyscy oni męczyli się nieopisanie,

męczyli się do tego stopnia, kiedy uczucie rozpacz przemienia się w obłęd. I jak przed ich talentem i świetlaną pamięcią, tak ze współczuciem chylny ezola także przed ich cierpieniem.

* * *

Latem 1914 roku w kawiarni na Arbacie miało nastąpić połączenie dwóch grup literackich. Od nas byłem ja i Bobrow. Od nich zapowiedzieli się Tretiakow i Szerszeniewicz. Ale oni przyprawdzili ze sobą Majakowskiego.

Okazało się, że wbrew oczekiwaniom, młody człowiek znany mi był z widzenia, z korytarzy piątego gimnazjum, gdzie chodził dwie klasy niżej i z kulturalno filharmonii, gdzie napotykałem go wzrokiem podczas antraktów.

Nieco wcześniej pewien ślepo w przyszłości oddany mu stronnik, pokazał mi w druku któryś z juveniliów Majakowskiego. Wtedy człowiek ten nie tylko, że nie rozumiał swego przyszłego boga, ale nawet nie drukowaną nowość pokazał mi jako oczywiście niezdarne bzdurę, z drwinami i oburzeniem. A mnie wiersze te niezwykle się spodobały. Były to te pierwsze, najjaśniejsze jego próby, które potem weszły do tomiku „Zwyczajne jak ryk”.

Teraz, w kawiarni, niemielił się spodobał mi się ich autor. Siedział przede mną piękny, pochmurny młodzieniec z basowym głosem protodiakona i pięcioma boksera, niewyzerpane, zabójcze błyskotliwy, coś pośredniego między mitycznym bohaterem Aleksandra Grina a hiszpańskim toreadorem.

Od razu odgadywało się, że choć tak piękny i błyskotliwy, i utalentowany, a może więcej niż utalentowany, nie to jednak jest w nim najważniejsze; a najważniejsze — to żelazny, wewnętrzny hart, jakiegoś nakazy czy zasady szlachetności, poczucie obowiązku, z powodu którego nie pozwalał

Dalszy ciąg na str. 4

str. 3



ALARM na JEZDNI!

Dalszy ciąg ze str. 1

ko" 37 wypadków. Cytowane liczby dadzą się łatwo uzasadnić, jeśli weźmiemy pod uwagę, iż sobota jest najbardziej "rozbieganym" dniem tygodnia, w poniedziałek głowy często jeszcze parują alkoholem po niedzielnych libacjach, a stosunkowo mała liczba wypadków w niedzielę, wynika ze znacznie mniejszego nasilenia ruchu w mieście.

Najwięcej kolizji zdarza się w śródmieściu, szczególnie podczas tzw. szczytów komunikacyjnych. I tu również obserwuje się pewne prawidłowości, przykładowo — w ubiegłym roku między godziną 15—18, a więc w porze powrotu z pracy i zakupów, zanotowano aż 112 wypadków. Właśnie te godziny są szczególnie brzemienne w groźne wypadki. I dalej: między godziną 12—15 — 94 wypadki, między godziną 9 a 12 — 91. Tyle cyfry.

2.

Od czasu gdy narodził się problem: pieszy — pojazd, datuje się konflikt między tymi dwoma użytkownikami dróg. Spróbujmy jednak rzecz uporządkować.

Kierowca. W roku 1966, 209 wypadków spowodowali kierowcy, powodem było najczęściej nieuszanowanie pierwszeństwa przejazdu, nadmierna szybkość, alkohol. Kierowcy kategorii I spowodowali 58 wypadków, drugiej — 78, trzeciej —

74, amatorskiej — 56, motocykliści — 47. Prokuratura badała sprawy 56 kierowców, którzy spowodowali wypadek: w ich krwi stwierdzono obecność alkoholu. Ponadto zatrzymano 316 kierowców, którzy prowadzili pojazdy w stanie alkoholowego zamroczenia, lecz na szczęście nie zdołali spowodować katastrofy. „Teoriom”, jakie wygłaszają zazwyczaj pijacy, bagatelizując szkodliwe działanie alkoholu, przeczy wiedza lekarska. Najlepiej zresztą wyjaśnia ją te sprawy niezawodne cyfry. Nim się na nie powolam, kilka słów wprowadzenia o tak zwanym czasie reakcji psychomotorycznej.

Praktycznie — nie wdając się w sformułowania naukowe — jest to czas, jaki upływa od chwili zauważenia wybiegającego na drogę dziecka do chwili pierwszego drgnięcia dloni, naciskającej klakson.

W warunkach ruchu drogowego, gdy kierowca ma wiele obiektów do jednoczesnego obserwowania, czas reakcji psychomotorycznej wynosi od 0,4 do 1 sekundy. Jeśli przyjmujemy, iż w warunkach miejskich kierowca jedzie z szybkością 40 km na godzinę, to długość drogi przebytej przez pojazd w czasie jego reakcji psychomotorycznej, równa 0,4 sekundy, wynosi 4,4 m. Przy reakcji równej 0,8 sek. pojazd przejedzie już 8,9 m, przy reakcji wynoszącej 1 sekundę, przebyta droga wzrasta do 11,1 m. Proszę sobie obliczyć, jak długi odcinek ulicy przejedzie samochód, jeżeli czas reakcji podopiecznego kierowcy wynosi aż 2,5 sekundy!

Wiadomo również, że 1,5-sekundowa reakcja powinna dyskwalifikować kierowcę. Zgodnie z obowiązującymi przepisami prawnymi, opartymi na badaniach i opiniach lekarskich, kierowca, którego krew zawiera 0,5 promille alkoholu, znajduje się w stanie upośledzenia sprawności psychomotorycznej i w zasadzie jest niedoły do prowadzenia pojazdu. Niestety, nie wszyscy zdają sobie sprawę, że starczy do tego kilka małych, pozornie niewinnych piw. Po wypiciu większej ilości alkoholu jego ślady pozostają we krwi aż 36 godzin.

* * *

Alkohol, to oczywiście tylko jedna z przyczyn wypadków drogowych. Są i inne, nie mniej częste. Na

przykład zły stan techniczny pojazdów. Potwierdzają to kontrole samochodów wyjeżdżających z baz, przeprowadzane przez MO. Kto ma wóz nie w porządku odmawia wyjazdu. Ale w normalnym dniu, kiedy nie ma kontroli, odmowy kierowców są rzadkością; kierowca dostaje kartę, na której widnieje podpis kierownika lub dyspozytora bazy, gdzie jest poświadczona sprawność techniczna pojazdu, chociaż i kierownik, i kierowca świetnie się orientują, że nie wszystko jest tak, jak być powinno. Kierownik wie, że w wypadku katastrofy odpowiedzialność spada przede wszystkim na kierowcę, kierowca wie, że odmowa wyjazdu może zawazyć na premii. I tak błędne koło się zamyka.

* * *

Cyfry są niestety także przeciwko nam, piechurów; obciąża nas 45 procent wypadków zanotowanych w roku 1966. Oczywiście najczęstszą przyczyną było przechodzenie jezdni w miejscu niedozwolonym, bądź też przechodzenie jezdni tuż przed nadjeżdżającym pojazdem. Charakter wykroczeń niedwuznacznie wskazuje na przyczynę — nieuwaga, nieostrożność, brawura, bezzmysłne ryzykanctwo. A w końcu, to przecież najpierw pieszy, a dopiero potem kierowca, winien pamiętać, iż w kolizji pieszygo z pojazdem, właśnie on, piechur jest stroną bardziej poszkodowaną. Warto tu odnotować ciekawą zjawiskę: w krajach o wysokim wskaźniku motoryzacji wypadki spowodowane przez pieszych są znacznie rzadsze, niż w Polsce, gdzie trudno przecież mówić o zagęszczeniu ruchu samochodowego. Oczywiście decyduje tu przede wszystkim fakt, że tam piesi są przyzwyczajeni do dużego ruchu, zdają sobie sprawę z konsekwencji nieostrożnego i żywiołowego przechodzenia przez jezdnię. Badania przeprowadzone na całym świecie wskazują, iż wśród przechodniów, którzy ulegli wypadkom drogowym, znakomita większość nie ma pojęcia o prowadzeniu samochodu czy motocykla, a w związku z tym nie zna trudności, jakie ma do pokonania kierowca. Wydaje się, iż mało jest przechodniów, którzy by się stawali nad modelem „bezpiecznego pieszego”. Kto na przykład za

stanawiał się nad sprawnością swego wzroku pod kątem bezpieczeństwa na jezdni? Szerokokątne ostre widzenie i spostrzegawczość wzroku to wielkie zalety, ale przecież nie każdy tak widzi. Niedomagania wzroku objawiają się zazwyczaj już po czterdziestym roku życia. W starszym wieku występuje częstokroć ślepotą wieczorową, która bardzo poważnie zagraża bezpieczeństwu przechodnia na jezdni wieczorem i w nocy. Wysoce niebezpieczne jest tzw. widzenie tunelowe, tzn. ograniczenie szerokości widzenia do bardzo małego kąta.

Poważne zagrożenia na jezdni stanowią ludzie starsi ze znacznie opóźnioną reakcją, nietrzeźwi i wreszcie dzieci, często pozostawione na ulicy bez opieki starszych.

Zatrzymajmy się chwilę przy trzech poważnych przyczynach wypadków, która jest stan łódzkich dróg. Wiece wąskie ulice i jezdnie, zastoinie skrzyżowania, rodzaj nawierzchni, oznakowanie, ciasnota, słabe oświetlenie itp. Wiedza przecież wszyscy łodzianie, jak Łódź jest waska, ciasna i niewygodna dla komunikacji. Na pytanie: co zrobić, żeby usprawnić w Łodzi komunikację, słyszy się często krótką odpowiedź — zbudować Łódź od nowa.

3.

No cóż, od nowa Łodzi budować z pewnością nie będziemy. Warto jednak i trzeba się zastanowić, co zrobić, żeby było lepiej i bezpieczniej. Wydział Kontroli Ruchu Drogowego MO, architekt i Wydział Komunikacji wysuwają sporo postulatów. W Łodzi, od 1964 r., przy Miejskiej Pracowni Urbanistycznej działa pięć zespołów architektów, zajmujących się specyfiką łódzkiej komunikacji. Zespoły komunikacyjne, przy wydanej pomocy ORMO, przeprowadziły szereg cyklicznych badań, które pozwoliły stwierdzić, w jakich punktach miasta, i kiedy, obserwuje się największe natężenie ruchu, jakie trasy są najbardziej uczęszczane, skąd, dokąd i po co ludzie tymi trasami jeżdżą. Urbanisci widzą nie tylko problemy dzisiejszej, łódzkiej komunikacji. Przewidując wzrost motoryzacyjny w roku np. 1970, starają się odpowiedzieć, co by było, gdyby te przyszłościowe komunikacje wprowadzić chociażby na ulice Śródmieścia bez żadnych zmian organizacyjnych. Na wet laik wie, że mielibyśmy wtedy jeden wielki korek. I tu pole popisu dla urbanistów. Wniknąć w ich konkretne projekty bardzo trudno, tym bardziej, że jak sami mówią, są to raczej „projekty projektów”, nabierające dopiero mocy w ogniu dyskusji. Oto np. palący problem przepustowości węzłów na takich ulicach, jak Sienkiewicza czy Al. Kościuszki. Już w tej chwili wezły pracują na największych obrotach. Co będzie w roku 1970? I tu zrodziła się koncepcja: czy sytuacji nie poprawi stworzenie z ulic Rewolucji 1905 roku, Jaracza, Wólczańskiej, Wschodniej i Sienkiewicza ulic jednokierunkowych. Dalej wysuwa się problem parkowania. Spójrzmy dzisiaj na ul. Piotrkowską: na niektórych odcinkach, po obu stronach stoł zawsze mnóstwo samochodów. Parkowanie nie tylko nęka architektów; Wydział Kontroli Ruchu i Wydział Komunikacji nie od dziś lamia sobie głowy nad tym wspólnym problemem.

Koncepcji znowu jest kilka, od projektu parkowania tylko przy jednym krajeźniku, aż po najbardziej drakońską, aby wzorem niektórych miast zachodnich zakazać w ogóle wjazdu samochodów do centrum miasta. Tu znowu wypływa następ-

na koncepcja: w przyszłości ustalić się trasy tranzytowe dla samochodów transportowych, przejeżdżających przez Łódź. Trasy te pozwolą szybciej przejechać przez miasto i w znacznym stopniu odciążą centralne ulice.

4.

Rozładowanie ruchu motoryzacyjnego i pieszego w śródmieściu jest nieodłącznie związane z właściwą polityką rozmieszczenia sieci handlowej, nie tylko w centrum miasta, lecz przede wszystkim w nowych dzielnicach. Uregulowania wymaga także zaopatrzenie. Jakże często obserwuje się przed sklepem spoczywającym kilka stojących samochodów, które akurat o tej samej godzinie zaopatrują sklep w różny asortyment towaru. Rozwiązanie tych spraw w Paryżu, gdzie sklepy zaopatrywane są od godz. 22 do 6 rano, jest dla nas w tej chwili tylko bardzo odległym marzeniem.

Od lat toczą się dyskusje nad problemem rozładowania szczytu komunikacyjnego w godzinach, kiedy ludzie usiłują się dostać do miejsca pracy, do szkół, fabryk, biur. Jeszcze pięć minut przed godziną osmą trzeba wyjątkowo silnie pracować lokami, żeby wedrzeć się do zatoczonych środków komunikacji masowej. A już w 20 minut później — żadnych trudności.

Część szkół i instytucji przesunęła o kilka minut czas rozpoczęcia pracy. Jest ich jednak, jak łatwo się przekonać, tylko znikoma ilość. Większość instytucji pozostała przy godzinach tradycyjnych, mimo że powszechnie wiadomo, iż na te godziny przypada właśnie znaczna część wypadków ulicznych.

Sporo krytycznych uwag i MO, i Wydział Komunikacji kierują pod adresem MPK; niedokładne oznakowanie świetlne wozów tramwajowych, ustawianie na drogach znaków korzystnych przede wszystkim dla tramwajów, brak koordynacji, to tylko niektóre z przyczyn wielu, bo aż 222 poważnych wypadków tramwajowych.

Postulaty MO, aby w Łodzi zbudować stację diagnostyczną z urządzeniami, które pozwoliłyby na dokładne badania technicznego stanu pojazdów nareszcie doczekały się realizacji. Budowa takiej stacji rozpoczęła się w br. Wydaje się, że również niektóre większe bazy transportowe powinny zakupić i zainstalować choćby najniezbędniejsze przyrządy diagnostyczne, by badania stanu technicznego samochodów nie były przeprowadzane tylko na „oko” i „słuch”. Należałoby się również zastanowić, czy nie trzeba wprowadzić większej selekcji przy egzaminach kwalifikujących na kierowców zawodowych. Ważne przecież badania czasu reakcji psychomotorycznej odbywają się tylko podczas badania kandydatów na lotników.

Postulatów i wniosków zmierzających do usprawnienia komunikacji i zwiększenia bezpieczeństwa na ulicach Łodzi jest bardzo dużo; łachucy na kolach piaskarek, które w czasie ślizgawicy są tak samo nie ruchomione jak normalne pojazdy, konserwacja i ulepszenie znaków drogowych, wyburzenie domów zasłaniających jezdnię na skrzyżowaniach, tydzień kultury na jezdni, który będzie zorganizowany na wiosnę, itp. to tylko znikoma część tego, co się projektuje i co na pewno powinno być zrobione. Ale powiedzmy sobie otwarcie: najwięcej do zrobienia mamy przede wszystkim my, zwykli, codzienni użytkownicy dróg naszego miasta.

BOGDA MADEJ

O Majakovskim

(Dalszy ciąg ze str. 3)

sobie być innym, mniej pięknym, mniej bliskotliwym, mniej utalentowanym.

I natychmiast jego stanowczość i rozczochrana grzywa, którą mierzwił rozwartą dłoń, skojarzyły mi się z obrazem młodego terrorkisty — spiskowca z Dostojewskiego, jednej z jego wcześniejszych prowincjonalnych postaci.

Nie zawsze prowincja nie nadążyła za stolicą z taką dla siebie szkodą. Niedługo, w okresie upadku głównych ośrodków, głuche zakątki ratowała zachowana w nich zapładniająca przeszłość. Tak Majakowski do imperium tanga i scattling-ringu przywiózł z głuchego, zakaukaskiego nadleśnictwa, gdzie się urodził, przekonanie, niezachwiane jeszcze w zaścianku, że w Rosji uświadomienie może mieć tylko rewolucyjny charakter.

Przyrodzony dar wewnętrzny młody człowiek cudownie dopełniał artystycznym balaganem, upozowaną szorstką i niedbałą bałafnością psychiki i figury i buntowniczymi przymiotami bohemy, w które z takim smakiem się drapał. I grał. (...)

Kiedy poznałem Majakovskiego bliżej, ujawniły się nasze nieprzewidziane techniczne podobieństwa, zbieżność w budowie obrazu, zbieżność rymów. Lubilem piękno i wyrazistość jego frazy. Niczego lepszego nie chciałem. Aby go nie powtarzać i nie zostać jego naśladowcą, zacząłem tłumić w sobie potrzebę krzykliwego rywalizowania z Majakovskim, ową heroiczną nutę, która w odniesieniu do mnie byłaby fałszywa, a także dążenie do efektu. To pozwoliło mi zapanować nad moją manierą i oczyścić mój styl.

Majakowski miał sąsiadów. Nie był w poezji jedyny, nie znajdował się na pustko-

wiu. Jego konkurentem na estradzie był przed rewolucją Igor Siewierianin, na arenie rewolucji ludowej i w ludzkich sercach — Sergiusz Jesienin.

Siewierianin rządził salami koncertowymi i robił — używając żargonu aktorów — pełną kasę przy pełnej widowni. Rozpisywał swoje wiersze na dwa, trzy popularne motywy z oper francuskich nie popadając przy tym w trywialność i nie rażąc.

Jego prymitywizm, brak smaku i płaskie neologizmy w połączeniu z godną zazdrości czystą, swobodnie płynącą poetycką dykcją, wytworzyły szczególny, dziwny genre, będący pod przykrywką banału, spóźnionym wkroczeniem targieniowszczyzny do poezji.

Od czasów Kołcowa ziemia rosyjska nie wydała nic bardziej rdzennego, naturalnego, trafnego i rodzitego od Sergiusza Jesienina, darującą epocze z niezrównaną swobodą, bez obciążenia prezentu stupodowym narodniczym cierpiętnictwem. Tak wyposażony Jesienin był żywym, pulsującym kłębkim tego artysty, który za Puszkim nazywamy mozarowskim duchem twórca, mozarowską spontanicznością.

Jesienin odnosił się do swego życia jak do bajki. Jak Iwan-carewicz na szarym wilku przeleciał nad oceanem i złowił żarptaka Isadore Duncan. Nawet swoje wiersze pisał bajkową manierą, raz jakby z kart stawał pasjansa, ze słów, to znowu pisał je krwią serdeczną. To co jest w nim najcenniejsze, to obraz olczystej przyrody, leśnej, środkoworosyjskiej, rzańskiej, przekazywany z oszalamiającą świeżością, tak jak ją dojrzał w dzieciństwie. W porównaniu z Jesieninem dar Majakovskiego jest przyćmiewany i mniej subtelny, choć możliwe, że głębszy i przestronniejszy. Miejsce jesieniowskiej natury zajmuje u Majakovskiego labirynt współczesnego wielkiego miasta, gdzie błąka się i moralnie pogrąża samotna współczesna dusza, której rozpaczliwa i nieludzka, dramatyczna sytuacja on ma-
luje.

* * *

Jak już powiedziałem, nasze zbliżenie wyolbrzymiają. Kiedyś, w okresie zastrzeżenia naszych rozbieżności, u Asiejewa, gdzie próbowałem się porozumieć, ze zwykłym mrocznym humorem tak określił naszą odmiennność: „No cóż, rzeczywiście się różnimy. Pan lubi błyskawice na niebie, a ja w żelazku elektrycznym”.

Nie rozumiałem jego propagandowej żarliwości, wszczepiania na siebie i towarzyszy do świadomości społecznej, kampanijności, brzydactwa, podporządkowania głośno aktualności.

Jeszcze bardziej zagadkowe było dla mnie czasopismo „Lef”, na którego czele stał, skład osobowy i system idei, o które tam kruszono kopie.

Konsekwentny i uczciwy w kręgu tych negatywistów był jedynie Sergiusz Tretjakow, który wyciągnął ze swej negacji logiczny wniosek. Wraz z Platonem Tretjakow wierzył, że w młodym państwie socjalistycznym nie ma miejsca dla sztuki, albo w każdym razie nie ma dla niej miejsca w momencie jej powstania. Skazona poprawkami narzuconymi przez czas, niemiłosiernie, rzemieślnicza pólzka, która kwitła w „Lefie” nie wymagała takiego zachodu i tylu wysiłków i łatwo było złożyć z niej ofiarę. Oprócz przedśmiertnego i nieśmiertelnego dokumentu „Pełnym głosem” Majakowski późniejszego okresu, poczynając od „Misterium-Buffo” jest mi niedostępny. Nie docierają do mnie te niezdarnie zrymowane recepty, ta wydoskonalona beztrefność, te ogólniki i komunały zestawione tak szczerze, zawiłe i bez połotu. To, w moim odczuciu, Majakowski-nikaj, nie istnieje. I zadziwiająco, że właśnie nikaj Majakowski został uznany za poetę rewolucyjnego.

Ale omyłkowo uważano nas za przyjaciół i np. Jesienin w okresie, gdy już wyrósł z imażinizmu, prosił mnie, abym go pogodził i zbliżył z Majakovskim, przypuszczając, że jestem do tego celu najbardziej odpowiednią osobą.

Chociaż z Majakovskim byłem na „wy”,

a z Jesieninem na „ty”, moje spotkania z tym ostatnim, były jeszcze rzadsze. Dadaż się policzyć na palcach i zawsze miały nieobliczalny koniec. To, zalewając się łzami, kleiliśmy się wzajemnie na naszą wierność, to wszechylnymi bójki do krwi i rozdziałali nas siłą postronni widzowie.

* * *

W ostatnich latach życia Majakovskiego, kiedy już nie było poezji, ani jego własnej, ani niczyjej, kiedy powiesił się Jesienin (...) w tych latach Asiejew, wzorowy towarzyszy rozumny, utalentowany, wolny wewnętrznie i niczym niezależny, był mu najbliższym w dążeniach przyjaciелеm i głównym oparciem.

Ja jednak ostatecznie odszedłem od niego. Zerwałem z Majakovskim, o to z jakiego powodu. Nie przyjmując do wiadomości mego ogłoszenia o wystąpieniu ze składu współpracowników „Lefu” i o tym, że nie należę do ich kręgu, moje nazwisko dalej drukowano w spisie członków. Napisałem do Majakovskiego ostry list, który musiał go boleśnie dotknąć (...).

Były dwa znamienne powiedzenia o naszych czasach: że żyjemy lepiej, weselej i że Majakowski był i pozostał najlepszym i najbardziej utalentowanym poetą epoki. Za powiedzenie drugie w osobistym liście podziękowałem autorowi tych słów, ponieważ wybażyły mi one od rodmuchowania mego znaczenia, na co byłem narzuwany w środku lat trzydziestych, w okresie zjazdu pisarzy. Kocham swoje życie i jestem z niego zadowolony. Nie potrzebuję dlań dodatkowej pozoty. Życie bez tajemnic i tajników, życie w lustrzanym blasku wityrny wystawowej jest dla mnie nie do pomysłenia.

Majakowskiego zaczęto wprowadzać na siłę, jak kartofel za Katarzynę. Było to jego drugą śmiercią. Tej śmierci nie zawinił.

Przełożył:
KONRAD FREDLICH

TRZYNASTY LEW JEST CZARNY

Kustosz Zacheusz Misiurski twierdzi, że na początku było dębowych lwów dwanaście. Sześć wielkości psów rasy bernardyn i sześć dużo mniejszych. Ale do naszych czasów dochowało się jedynie dziewięć. Jaki los spotkał tamte trzy pozostałe — nie wiadomo.

Za to z biegiem wieków przybłakał się do stadka jeszcze jeden lew. Trzynasty. Był mniejszy, niezgrabny i do kundla raczej niż do lwa podobny. Na domiar śmieszny białobrudną barwą brzożyny, z której go wyrzeźbiono. Kim był jego twórca, trudno dociec. Może ludowym artystą, a może bracijskim zakonnym, który w wolnych chwilach dębował kozikiem w niezbyt wielkim polanie?

Dębowe lwy spoczywają przy barokowych stallach, w głównej nawie sulejowskiego kościoła. Podobno leżą już tak osiem wieków, gapia się nieruchomymi ślepiami w złoty ołtarz i strzegą swego legendarnego rodowodu. Tak przynajmniej uważa kustosz, który narodziny drewnianych zwierzątek wyprowadza od legendy związanej z powstaniem klasztoru.

Pocieszny lew trzynasty, wyrzeźbiony w szesnastym wieku, także leżał w głównej nawie i to dosyć długo, bo aż cztery wieki. Ludzie z oświeczeniowych wieków modlący się w kościele, niechętnym okiem spoglądali na brzożowego dziwoląga, który bez żadnych widomych powodów znalazł się w jednym rzędzie obok królewskich bestii. Nikt go jednak nie ruszał i tak mijali wieki.

Pewnego dnia lew jednak zniknął. Poza kustoszem nikt się zaginięciem szesnastowiecznej rzeźby specjalnie nie zmartwił. Było to bodaj w roku 1927. Na dziedzińcu klasztoru zjechał autobus z wycieczką. Turysty rozleźli się po opactwie, kilkanaście osób weszło do świątyni. Kustosz Misiurski, wówczas nauczyciel wiejskiej szkoły umieszczonej w budynku po arsenale, objaśniał, opowiadał na pytania. Nieoczekiwanie rozpadł się deszcz. O zwiedzaniu ruin i baszt nie mogło być mowy. Wycieczkowicze zaladowali się do autobusu i odjechali, drąc się; szlaaa dzieciewiczka do laaseczkasa...

Wtedy właśnie zginęło brzożowe lwiatko. Kustosz zawiadomił o kradzieży policję w Sulejowie i napisał notatkę do prasy. Gazeta zrobiła z tej historii jednoszpaltową sensacyjkę o tajemniczym amatorze antyków i nieszcześliwym kustoszu ścigającym na własną rękę złodzieja. Policja wszczęła poszukiwania. Miłośnik kradzionych drewnianych zwierząt widocznie przestraszył się i pokrył lwa czarnym, specjalnym barwnikiem do drzewa. Następnie oddał do antykwarium nie ujawniając ani swego nazwiska, ani skąd zabytek pochodzi. Antykwarium ustawił „murzynka” na półce, przypisał cenę i wrócił do swoich normalnych zajęć.

Przypadek chciał, że któregoś dnia wstał do wspomnianego antykwarium w Łodzi major R. ówczesny Dowódca Okręgu Korpusu. Wiedział o kradzieży lwa w sulejowskim opactwie, wiedział sam wielokrotnie klasztor, więc też z miejsca zwrócił uwagę na czarnego zwierzątko, przypomniawszy kształtem tamtego sprzed ołtarza. Mimo różnic w kolorze maści „zaaresztował” na wszelki wypadek zwierzę i zawiózł je do Sulejowa nad Pilicę.

Radość kustosa była, jak to mówią, nie do opisania. Próżno jednak kapka lwa i oskrobywał. Nic nie pomogło, barwnik wsażył się w drzewo. Brzożowy lew po wazę czasu będzie już czarny. Kto wie, może za karę, za to, że zakradł się ten mały brzożowy koszarnek pomiędzy tamte wielkie, królewskie, dwunastowieczne lwy dębowe? Wszak z legendą nie wspólnego nie miał. Toteż już nie wrócił na dawne swe miejsce w świątyni. Leży sobie teraz na półce w zabytkowym kapitulniku obok czaszki rycerza, naczyń liturgicznych, poszczerbionych mieczów, pancerzy pokrajanych żelazem, rzeźb ludowych i obrazów wykonanych przez anonimowych, szesnastowiecznych bracijskich. I można go oglądać tak samo i dotykać jak tamte, spoczywające przy barokowych stallach w świątyni.

Na tym kończy się historia narodzin, zginięcia i odnalezienia lwa — murzynka. Skąd jednakże wzięły się lwy wielkie, dębowe i dlaczego uważa się, że one jedynie mają prawo leżeć przed ołtarzem?

Stare opactwo piętrzy się na wysokim brzegu Pilicy. Jak wiadomo, był to czwarty z kolei klasztor cystersów w Polsce. Powstał z fundacji Kazimierza Sprawiedliwego w roku 1175. Wioska, której domy rozrzucone wśród pól uprawnych znajdują się w pobliżu, powstała znacznie później i stał jej nazwa Podklasztorze. Przez wiele wieków było opactwo potężną rezydencją mnichów potentatów, właścicieli stu dwóch wsi i czterech miasteczek na Ziemi Toruńskiej, Krakowskiej, Opoczyńskiej i Piotrkowskiej. Nawet królowie pożyczali od nich złoto na wyprawy wojenne. Podobno Jagiello siał do cysterskiego skarbcza przed walną rozprawą z Krzyżakami. Za procenty mnisi rozbudowywali klasztor i zamieniali go w fortecę. Po wiekach rozkwitu nadszedł jednak kres dla opactwa. Zniszczyły go wojny i najazdy, reszty dokonał arcybiskup warszawski Franciszek Malczewski, nakazujący w roku 1819 kasatę bogatszych klasztorów, opactw i części kolegiat. Starożytna budowla ojców cystersów w Podklasztorze nie dźwignęła się z upadku i uległa częściowej ruinie.

Już daleko przed Sulejowem wylania się przed naszymi oczyma zarys wspaniałego zabytku, po części klasztoru, po części niedostępnej fortecy. Ongiś prowadziła do niej jedyna brama zwana Krakowską, zabezpieczoną mostem zwodzonym. Most wisiał na potężnych łańcuchach nad fossa połączoną z Pilicą. Od bramy biegły w dwie strony mury najeżone basztami. Tych murów obecnie nie ma, uległy rozsypane. Dochodziło się nimi do baszty z atyka, wzniesionej za panowania Kazimierza Wielkiego. Rozciągał się z niej rozległy widok na Piotrków, Witów, Milejów, piękne lasy spałskie i leniwa Pilicę. Opodal wznosi się baszta Ryckerska, a dalej najstarsza Mauretańska, skąd obrońcy ostrzeliwali nieprzyjaciół. Mieściło się tu pomieszczenie dla zbrojnej załogi, utrzymywanej przez opata w sile stu piechurów i czterdziestu artylerzystów. Od strony wschodniej góruje baszta Opaska, wzorowana na budowach bretońskich. Kiedyś przyleżała do niej arsenał otoczony murami obzonowymi, które wiodły do baszty Muzykalnej zbudowanej w kształcie wału, o murach podwójnych, z furtką żelazną

ziemię. W głąb tutejszych borów przed osiemset laty klebiło się od łownej zwierzyny. W sroższe zimy jelenie, sarny i tury ogromnymi stadami podchodziły pod ludzkie zagrody szukając pożywienia, nie mówiąc o wilkach, których okragły rok wszędzie było pełno. Bez huku i oszczepu nikt tu się w drogę nie wypuszczał.

No dobrze, ale co z lwami, których drewniane podobizny, dla upamiętnienia tamtych odległych czasów, umieszczono w głównej nawie kościoła? Skąd się wzięły w lechickiej krainie bestie z libijskiej puszczy? Czy stąd, że gdy król nasz Leszek potykał się zwycięsko — jak chce uroczy bazarz Wincenty Kadłubek — z Juliuszem Cezarem, była tu terra ubi leones? Lub może stąd, że od starożytnych począwszy, lew był jedynym zwierzęciem godnym miana królewskiego? Wzlednie może prawdę głosią niektórzy, jakoby lew uosabiał wszystkie ludzkie namiętności? Pychę, zarozumiałość, złość, obżarstwo, lenistwo. Wystarczy przyrzec się tylko uważnie debowym lwom, zapatrzonemu w złoty ołtarz, by dostrzec w pyskach zwierząt cechy ludzkich twarzy. Ten ma wyraz rozleniwiony, ospały. Ten znowu ze złości wyszczerzył kły, jakby chciał poszarpać niewidocznego przeciwnika. Ten natomiast z wyrazem błogości obliźnie grube wargi jeżorem, niby do świętej uczcie. Ow znowu spogląda przed siebie pełen pychy i zarozumiałstwa.

Może więc istotnie lwy z sulejowskiego opactwa, jak twierdzą niektórzy, uosabiają ujarzmione ludzkie namiętności, rzucane pod stopy ojców cystersów, zasiadających przed wiekami w stallach i zanurzających modły o przeganie szatana z dusz grzesznych?



Fot. A. Markowski

zamknięta na podwójny, żelazny rygiel. Tędy podczas oblężenia klasztoru przez Szwedów wynykali się w bezkieszczytowej nocce obrońcy, dla osiągnięcia języka i zasiania zamieszania w obozie wroga. Od baszty Muzykalnej dochodziło się poprzez mury ponownie do bramy Krakowskiej. W ten sposób zamykał się pierścień wspaniałych budowli połączonych murami. W centrum tego pierścienia stał świątynia zbudowana przez Kazimierza Sprawiedliwego, zdobna w romańskich portali podparły kolumnami z piaskowca. Podanie głosi, że jedna z tych kolumn nosi ślady po mieczach rycerzy Jagielly, którzy symbolicznie ostrzyli je, ruszając stąd po wylubskiej koncentracji pod Grunwald. Wybicie widoczne jest z daleka. Tu także ponoć modlił się, kłęcząc przed głównym ołtarzem, król Jagiello, nim dosiadł rumaka i nim poprowadził rycerstwo na walną rozprawę z krzyżackim komturem. Przed tym ołtarzem leża właśnie dębowe lwy. W miejscu, gdzie wysoki brzeg kończy się urwiskiem, pod naszymi stopami rozciąga się dolina Pilicy. Dzikie łąki i pagórki Podklasztorza ciągną się wzdłuż rzeki. Dalej czerwienia się dachy Sulejowa, rodzinnej miejscowości autora powieści „Stare i nowe” — Lucjana Rudnickiego. Nad wapienikami, w Sulejowie i w pobliskich wsiach, unosi się gęsty żółtawy dym i lekka mgła zawisa nad okolicą. To wszystko ma za tło ciemnozieloną równinę lasów, które za Kazimierza Sprawiedliwego, jak wynika z wielu znanych nam przekazów historycznych, nieprzebytą puszcza pokrywały tę

Prawdę mówiąc, wcale mi ta ostatnia koncepcja nie odpowiada. Popuśćmy więc wodze fantazji, skoro i tak już zabrnęliśmy w kraje starej baśni, wiedzeni przez kustosa Misiurskiego — przewodnika, poprzez wielowiekowe dzieje klasztoru. On opowiada o lwach tak, jakby sam był świadkiem owych dziwnych wydarzeń w puszczy nad Pilicę.

Przez jej najbardziej dziką część wiodł wówczas jedyny trakt. Galezie wisiały nad drogą tworząc zielony baldachim, nabity złotymi gwóźdźkami promieni słońca. Ogromne ptaki, strojne w pióra barwne jak u papuga, napelniały śpiewem knieje. Wśród wypróżniających pni drzew baraszkowały lisy z pyskami wilkołaków, przez trakt raz po raz kicały wielkie zajace podobne do kangurów a latające wiewiórki przemikały pomiędzy konarami w tajemniczych gaitwach. Ktoś widział tu podobno nawet i smoka, jak wstawał z bajora krokodyl lub. Tak przynajmniej opowiadano o tajemniczym życiu w puszczy sulejowskiej.

Wiesz niesie, że zapuszczał się w te lasy Kazimierz, książę Sandomierski później Krakowski, zwany Sprawiedliwym. Książę bowiem nie tylko kochał się w czynach sprawiedliwych, lecz także przepadał za myśliwstwem. Na polowanie do puszczy nad Pilicę jechał zapewne z całą myśliwską świtą. Był więc tam łowczy koronny, był sokolnik przykładający ptactwo do łowów, był objeźdnik wiodący sfere psów tropianych ściganego zwierza, był osacznik rozstawiający wśród drzew sieci, jechał szewcawce, psiarzyki i kotłowi opiekujący się pańskimi

psami i szkyfacy im karmę. No i naturalnie byli rycerze i członkowie książęcego dworu.

Owego dnia polowanie zaczęło się nader pomyślnie. Wnet, jak to zwykle bywa w legendach, wspaniały leń lamiąc krzewy i galezie pognął wprost na stanowisko księcia. Kazimierz napiął łuk, zmierzyl uważnie, pole do strzału miał wyborne, bo przed nim rozciągała się łaczka, porośnięta jedynie krzewami jałowca i nagle w tym momencie z drzew wypłynęło słońce. Czerwonym blaskiem zalało polane i oślepiło władcę. Zwierz jak wichura przegalopował obok, o mało nie zrzucając Kazimierza rogami z siodła i wpał w w gaszcz. — Nie ujdzie — pomyślał zapewne stojący obok wielki łowczy. Wiedział, że sieci w gaszczu rozpiętej pomiędzy drzewami, pilnuje najlepszy z dworskich osaczników. Stało się inaczej. Jeleń strasował osacznika i zniknął z oczu wśród szerokokonarych dębów.

Dawno nie widzieli dworzanie tak gniewnej twarzy u Kazimierza, znanego z łagodności. Spinając rumaka ostrogami ruszył w pogon za uchodzącą zwierzyną. Niebawem znalazł się w kniei sam, bez drużyny. Słyszał wprawdzie nawoływania i sygnały ostrzegawcze grane na rogach, lecz nie myślał wracać bez upolowanego rognacza. Dziesięć razy łuk napiął i dziesięć razy strzały ocierały się jedynie o łeb jelenia, jakby je kto z boku na bok odtracał. Przy tym koń pod Kazimierzem ustawicznie chrapał, stawał dęba i nie chciał słuchać jętki.

Zatrzymał się książę i rozgląda wokół. Knieja dzika, drzewa brodate od mchów, płatnina nie do przebycia, a zza pnia ściganego jelenia leś rosochate wystawał i jakby ludzkim wejściem spozierał na myśliwego, w książęcym kółpaku.

— Zle — pomyślał Kazimierz. Już nawet chciał zawrócić, ale że myśliwym był zapalonym, no i do tego wnukiem stryjczym Smiałego, więc choć sam, bez drużyny i w takiej guszcy, ruszył dalej za zaczarowanym jeleniem. Jechał za nim trop w trop, choć koń w bagno mu wpał do szyje i z największym trudem tylko wy dostał się na caliznę.

Wreszcie las zaczął rzednąć. Jeleń jakby się zawałał, przystanął i zdawało się, że spojrział na księcia ni to kpiąc, ni to z wrzutem. A książę właśnie ostatnią strzałę nakładał na cęciwę, pewny już teraz zdobyczy. Wtedy jeleni uskokzył za omszały dąb i więcej go władcę już nie dojrzał, chociaż pilnie wypatrywał.

Raptem zerwała się wichura i gromy z jasnego nieba zaczęły bić jeden po drugim. O kilka łokci od monarchy piorun rozdarł strzelista sosnę. Koń Kazimierza zerwał się do szalonego galopu. Próżno jeździec szarpał uzdę, krzychał. Koń gnał prosto na wzniesienie, pośrodku którego stał dąb tysiącletni i szeroko rozpościerał konary, tworząc jakby dach gesto posyty liści. Tu dopiero się zatrzymał. Kazimierz zeskokzył z wierzchowca, rzucił się na kolana i wśród huku piorunów modlił się żarliwie o ocalenie.

Burza ucihła tak nagle, jak nagle nadeszła. Kazimierz podniósł oczy ku niebu, ale oślepił go blask tak mocny, że zmrużyć musiał powieki. Wówczas usłyszał głos nad sobą silny, a jednocześnie tak łagodny, że księcia opuścił lek.

— „Kazimierzu, nie obawiaj się niczego. Ale pomny na godzinę ocalenia, zbuduj w tym miejscu klasztor, z własnej go skatuli bogato obdarowując. A żeś oddalił się o dwa naciebie stając od swej drużyny i dwanaście razy zmieniłeś kierunek, do twoich towarzyszy zawiada się bezpiecznie moje służki”.

Powstał Kazimierz z kłęczek, spojrział i zadrażył z przerażenia. Dwanaście potężnych lwów otaczało go kolem, potrząsając grzywami i porykując. Rychło opanował lek, dosiadł wierzchowca i ruszył w ślad za dwunastoma bestiami, majestatycznie kroczącymi w dwóch równych rzędach. A co trochę zwierzęta uszły, to łby ku jeźdźcowi odwracały i machały nań przyjaźnie ogonami.

Po niedługim czasie dziwny orszak nakłnął się na druzyno, która śpiesznie obóz rozbijała na polanie i zamierzała ruszyć na poszukiwanie zaginionego monarchy. Kazimierz wskazał ręką dworzanom na lwy, opowiadając, oczywiście, o cudownym ocaleniu. Lecz nagle ze zdumieniem stwierdził, że lwy zniknęły, a dworzanie i myśliwi patrzyli na niego z takim wyrazem twarzy, jakby władcę co najmniej ciężko zachorował i trzeba mu niezwłocznie krew spuszczać.

Następnego dnia, na miejsce niezwykłego zdarzenia, podał się do księcia Kazimierzem orszak liczący pewnie ze sto koni. Nikt nie pozostał w obozie, wszyscy chcieli zobaczyć dąb tysiącletni, pod konarami którego książe znalazł schronienie.

Gdy przybył na skraj lasu i książe rozzejrzał się wokół, zobaczył, że nie góra to była wysoka, a brzoż wyniosły, u podnóża którego, zataczając szeroki łuk, rozlewała się Pilica. Dolina rzeki wszystkich wprawiła w zachwyt.

Wkrótce z rozkazu Kazimierza wzniesiono na skarpie wielki kościół. Wieże tej świątyni, wysoko strzelające ponad niebotyczne sosny, dęby i jodły, były otąd dla wielu zagubionych myśliwych oraz wędrowców puszczańskim drożozkazem.

Pał pod ciętymi tonorów tysiącletni dąb rosnący na środku wysokiego brzegu. Z jego pnia kazał Kazimierz wyrzeźbić dwanaście lwów. Przed ołtarzem, przy stallach je ustawiono, by po wszystkie czasy przypominały wszystkim ocalenie monarchy. No i leża faktycznie te królewskie bestie przed ołtarzem tyle ponoć wieków, ile liczy sobie sama świątynia. Lany przednie wysunęły do przodu, tylne podkurczyły tak, jakby za chwile miały się unieść z miejsca i na niewidzialny rozkaz nożazwę w głąb kniei, by torować drogę zabłąkanemu monarche. Kustosz, Zacheusz Misiurski osromnie lubi te lwy. Cóż bez nich znaczyłaby legenda i tak o nich opowiada, jakby wszystko to sam słyszał i widział, co się zdarzyło księciu. Tylko czasem w zakłopotaniu wprawiają go te lwy nvski. Coś ludzkiego mają na pewno w sobie.

KULT WĘŻA

Spośród naszego zootyzmu ludowego najbardziej wyróżnia się kult węża. Kult to zapewne najbardziej stary, prapierwotny, zaczątkiem sięgający okresów poprzedniego bytowania naszych przodków na innych obszarach, w odmiennych warunkach geograficznych, w odmiennym klimacie i w innym otoczeniu zoologicznym i botanicznym.

W nieznanym czasie i okolicznościach nastąpiła migracja, porzucenie pierwotnych siedzib, prawdopodobnie azjatyckich, będących prawdziwą ojczyzną wężów i ich kultu. Na zajętych nowych obszarach osadniczych ilość węży i różnorodność ich gatunków okazała się znikoma. Nasza herpetologia (nauka o płazach i gadach) rozróżnia za ledwie siedem gatunków — sześć nieszkodliwych i jeden jadowity (żmija), nie licząc nieludzkich padalców — bezgłogich jaszczurek, nie słusznie zaliczanych przez lud do wężów. W istocie rzeczy spotykamy na ziemiach polskich dwa główne rodzaje — zaskronca czyli węża wodnego i jedyną okaz jadowity — żmiję.

Wraz z pierwotną ludnością przywędrowały także jej przastare kultury i mimo odmiennych warunków trwały nadal, przystosowując się — zapewne częściowo — do zmian, nie na tyle jednak, by ustalone przedwzrostem tradycje doznawały zaniku. Przeciwnie — najpierwotniejsze kultury okazywały największą odporność na działanie czasu i utrzymywały się w wyobraźni ludowej jako ciągle żywotny relikw. Właśnie kult węża należy do zjawisk, w których prafantazja pierwotna najdłużej zachowała przyciagającą, irracjonalną siłę. Przez to zjawisko, jak przez wazutka szelinki, próbujemy docierać do głębi psychicznej, by ujrzeć ślady naszej, ciągle przecież nie zakończonej pierwotności.

Kult węża zachowywał swoje znaczenie mimo najbardziej niesprzyjających okoliczności. Z licznych przekazów etnograficznych wiemy, że jeszcze pod koniec XIX i w początkach XX wieku wyraźnie się przejawiał — na całym obszarze ziem polskich, a najwięcej na pograniczu litewsko-ruskim. Możliwe, że i obecnie, w drugiej połowie XX wieku, kult ten — chociaż niewątpliwie dużo stracił — nie wygasł jednak ostatecznie.

Jak wielka była siła zachowawcza kultu węża, dowodzi jego odporność wobec sugestii kościoła. Najbardziej rozpowszechniona — dzięki kazaniom, pouczeniom, obrazom — wersja biblijna o grzechu pierwotnym ogólnie znana była wśród ludu.

„A wąż był chytrzejszy niż inne zwierzęta polne, które stworzył Jah we Bóg” — Księga Rodzaju podkreślała znaczenie węża, przypisując mu właściwości nadzwyczajne, nie tylko chytrą, ale umiejętność przekonywania, talent kusicielski, inteligencję równą ludzkiej, a może nawet wyższą, wreszcie usilne pragnienie unicestwienia dzieł Boga, przez co, chociaż stworzony przez Boga jako zwierzę, zaliczony został do szatanów, wprowadzając w zakłopotanie egzegetów. Kościół ciągle przypominał przekleństwo rzucone przez Boga na węża:

„Ponieważ to uczyniłeś, przeklęty będziesz pomiędzy wszelkim bydłem i wszelkim dzikim zwierzęciem. Na brzuchu twoim czołgać się będziesz i gлина żywić się będziesz przez wszystkie dni życia twój. Nieprzyjaźń ustanawiam między tobą i niewiastą, między potomstwem twoim, a potomstwem jej, ono zdepce ci głowę, a ty zranisz mu piętę”. (Księga Rodzaju, opracowanie i przekład ks. St. Łach, Poznań 1962, s. 217).

Wąż, uznany przez naukę chrześcijańską za demona, diabła i nieprzyjaciela rodu ludzkiego, nie stracił jednak u nas pierwotnego kultu. Okazał się chytrzejszy niż inne zwierzęta polne, mówiąc językiem biblijnym. Ale zapewne pod wpływem chrześcijaństwa zmienił się w jakiś sposób stosunek do niego, zaczęto mu przydawać więcej cech ujemnych, niemniej jednak kult jego nie zanikał.

Z naszych przekazów najdawniejszych niewiele pozostało. Wydaje się, jakby kult węża utrzymywał się w sposób mało ujawniany, raczej kryjomy i domowy, jak kult różnych niebożąt, nie za bardzo rażący i lekceważony przez kościół. Nie wiemy jak wyglądała ta sprawa w początkach naszego chrześcijaństwa i jakie były zabiegi unicestwiania.

Ze względu na podobieństwa z sąsiedzką Litwą możemy — dla celów porównawczych — przytoczyć relację Hieronima z Pragi, kazno-

ROZMOWA Z AUTOREM

ODGŁOSY: — Pod jakim tytułem ukaże się Pańska książka?
S. CZERNIK: — Prawdopodobnie będzie to „Polska Symbolika Ludowa i Archetypy”.

ODGŁOSY: — Od jak dawna zbiera Pan materiały do tej — nietypowej przecież, niepowседневnej pracy?
S. CZERNIK: — Z folklorem polskim mam kontakt od dwudziestu pięciu lat. Wiele swoich spostrzeżeń z tego zakresu zdążyłem już opublikować. W „Starym złocie” jeden z rozdziałów poświęciłem literaturze magicznej. A więc materiał gromadził się na przestrzeni kilkunastu lat.

ODGŁOSY: — Ale pomysł „Symboliki i archetypów” jest chyba młodszy?
S. CZERNIK: — Tak. Mniej więcej rok temu wykrystalizował się ostatecznie. Chociaż, czy ja wiem... Nie można mówić „ostatecznie”, bo podczas pisania pierwsze zamierzenia ulegają zmianom. Jedno wiem na pewno — zainspirował mnie Norwid, jego „Vademecum”, jego „Kolebka Pieśni” dedykowana współczesnym ludowym pieśniarzom.

ODGŁOSY: — Może, tak najogólniej, o tematyce Pańskiej książki?
S. CZERNIK: — Chodzi tu o zaklęcia ludowe, ale te tajne, dotąd nie wysiedzone, strzeżone zadróżnie przez znachorów, zaklinaczy i czarowników. Staram się odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób niektóre zwierzęta i rośliny stawały się przedmiotem wierzeń, przesądów, zabobonów, czynności magicznych, zaklęć i zamawiań, w jaki sposób stały się przedmiotem kultu, wyrażającego niejednokrotnie jakiś sens mityczny. Jest kult dębu, bzu, węża, żółwia, sowy, kukulki, i jest jeszcze wiele, wiele kultów, o których w swej pracy wspominam, które wiążą się czasami z kulturami innych narodów, nawet pozaeuropejskich. Szczególnie ciekawe są wierzenia związane z tak zwanymi zwierzętami wieszczymi, obdarzonymi przez „moce wyższe” zdolnością wróżebną. — Zapowiadają one wydarzenia mające nastąpić w przyszłości, przewidują skutki ludzkich zamiarów i poczynań.

A.M.

dzień Władysława Jagiełły, prowadzącego misję apostołską na ziemach litewskich.
 „Pierwsi Litwini, do których przybył Hieronim, czcili węża; każdy miał w kącie domu swego węża leżącego na sianie; któremu dawał pokarm i składał ofiary. Hieronim kazał wszystkie pozabijać i przyniesione spalić; między nimi znalazł jeden większy niż inne, którego przysuwano nieraz ogień w żaden sposób spalić nie zdołał”. (We dług Brücknera Literatura religijna w Polsce średniowiecznej, I, s. 28).

Prawdopodobnie i u nas początkowo zabijano i palono, czczone węża, ale, jak wynika z relacji Hieronima, mogły też zdarzać się przy padki nieudanego spalania, co znów przyczyniło się do trwania kultu. Minęły stulecia, prawie tysiąc lat oddziarywania chrześcijaństwa. W jakim stanie przedstawiały się relikty kultu węża na naszych ziemiach? Zilustrujemy to na dwóch miarodajnych przykładach — z Krakowskiego i Lubelskiego. Pisz, wytrawny folklorysta Seweryn Udziela w pracy Swat-nadznysłowy ludu krakowskiego, mieszkańca po prawym brzegu Wisły („Wisła” 1898, s. 131 i nast.):

„Wąż odgrywa ważną rolę w poganiach ludu. Baśnie otaczają go jakąś tajemniczością i przynajmniej mu przyimoty i własności cudowne. Obecność jego w domu przynosi szczęście i bogostawieństwo mieszkańcom, o czym można się nasuchać wszędzie wiele opowiadań zajmujących.”

Wszystkie te opowiadania powinny stosować się do zaskronca (*Tropidonotus natrix*), który w Krakowskim jest dość pospolity, bo innych wężów (oprócz żmii) tutaj nie ma. Jednakże, jakkolwiek lud nasz ma bystry zmysł spostrzegawczy, a żyjąc na łonie przyrody, podpatruje ją i zna dobrze, przecież rzecz się ma wyjątkowo przeciwnie co do węża. To wszystko, co lud o nim opowiada, nie stosuje się do węża krajowego, ale do jakiegoś węża innego, mitycznego, którego tu nie ma, którego nikt zobaczyć nie może.

Nazywają go wężem, a najczęściej gadem; w niektórych okolicach nad Rabą trusią. Mieszka w każdej chałupie, w stajni, w oborze, i tam w ziemi, w dziurze pod progiem, pod piecem, lub gdzie indziej ma gniazdo. Przebywa także w lasach.

Nie opisują go dokładnie, jak wygląda. Mówią, że jest wielki, ogromny, dłuższy nad dziesięć łokci (przeszło sześć metrów). Jakiej barwy jest wąż, trzymający się stajni, takiej maści bydlęta chowa się najlepiej. Król wężów jest najdłuższy spomiędzy wszystkich wężów, ma na sobie skórę połyskującą, a na głowie śniacza koronę złotą.

Żywi się wężem mlekiem, które je razem z dziećmi, albo też ssie krowy, owijając się im koło tylnych nog. Krowa daje się spokojnie ssać wężowi, a nawet przywiązuje się do niego, czeka na niego, gdy czas odwiedzin nadchodzi, wreszcie ryczy i szniewie z tęsknoty, gdy węża zabraknie. Taka krowa, którą wąż ssie, chowa się ładnie i daje wiele mleka. Toteż gospodynie radę sa bardzo, gdy spostrzeżą kiedy węża w stajni lub gdzie niedaleko. Wąż je mleko albo w nocy, albo tak, aby go ludzie przy tym nie widzieli. W jesieni liże wąż korzeń jakiegoś drzewa i wskutek tego zasypia na całą zimę.

Nie wolno zabijać węża, który zresztą nigdy nic złego nie wyrządza nikomu, a złości się, rzuca na ludzi, kąsa lub krew ssie tylko w obronie króla swego. Oprócz tego

wypadku jest wąż zawsze łagodny i wdzięczny za dobre obchodzenie się z nim. Przywiązuje się do domowników, i jeżeli rodzina zmienia mieszkanie, wąż wędruje za nią.”

Z relacjami Udzieli zgadzają się na ogół poważne zapisy Gluzińskiego z ziemi lubelskiej. Najważniejsze wyciągi z nich przytoczam według Kolberga (tom 17, s. 145):

„Wiadomo jest, iż w czasie poganiństwa w dawnej Polsce i prowincjach podległych, jak np. w Litwie, węż po wielu okolicach był czczone za bóstwa. Chowano je w domach z czcią szczególną, a zabić węża było największym występkiem społeczeństwa, i człowiek, który by się tego dopuścił, był z praw wyzuty i wyznaczony, a to nawet znaczyło niemal więcej jak wszystkie późniejsze klątwy.”

Dlatego to może włościanie z odwiecznego zabobonu, uważają za szczęśliwy ten dom, w którym się wąż znajduje. Jeżeli się gdzie pod ścianami pokaże, nie wolno jest drażnić się z nim, a tym bardziej odbierać mu życie. Żeby zaś tym mocniej wpolić cześć dla tego lichego stworzenia, wrośa prawie wszyscy, iż skutkiem zabicia węża w

tym domu, krowy mleko stracą i drób domowy pozdycha.

Mówią, że widziano węża tak postępowaniem domowników ośmielone i tyle właskawione, że kiedy dzieciom jeść dano, a szczególnie kaszę lub kluski z makiem, wychodziły one ze swoich nor i razem z dziećmi dane potrawy zjadały.

Jeżeli wąż jest w pewnym poszanowaniu u zabobonnych, niemniej także szanują jego jaja. Kiedy je kto znajdzie lub gdzie trafi, powinien z dala omijać; a broń Boże nie zdusić, bo stąd się zle na cały dom rozlać może.

Spomiędzy ludu, udający więcej znajomości rzeczy od drugih, opowiadają, że pod korzeniem leszczyny, na której by rośla jemiola, znajduje się król wężów. Jest on większy od wszystkich innych przynajmniej dwa razy; na głowie ma złotą koronę stosowną do objętości tej głowy; a ten król w pewnych porach zwołuje radę i natenczas wszystkie węża gromadzą się około niego i odbierają do dalszego postępowania rozkazy.”

Egzotyzm kultu wężów. Skądże się wywodzi? Jakże mamy potwierdzenia jego rodowodu z niepamiętej, obcej krajiny, pierwotnej siedziby Ariów? Podobieństw i przykładów szukajmy w Azji, najbliższej początkowego źródła. Sięgnijmy, dla przykładu, w miarę naszych ograniczonych możliwości, do Indii. Oto co pisał Arthur L. Basham (Indie od początku dziejów do podboju muzułmańskiego, Warszawa 1964 s. 392).

„Niektóre zwierzęta i rośliny były i są święte. Na pierwszym miejscu, oczywiście stoi krowa... Ale pomimo jej wielkiej świętości nie było bogini-krowy, nie miały żadnych specjalnie ku ich czci wzniesionych świątyń. Żywa krowa była jednak przedmiotem czci, i to sama w sobie, a nie jako reprezentantka jakiegokolwiek bóstwa.

Po krowie największą czcią otaczano w Indiach starożytnych węża. Wielkim blaskiem otoczyła go sława takich legendarnych węży jak Siesza i Wasuki, ale sam kult ma swe źródła niewątpliwie w bardzo pierwotnych warstwach kultury; śmiertelność wąż jest bowiem przedmiotem czci dla niecywilizowanych ludów na całym świecie jako symbol zarówno śmierci, jak i płodności. Ofiara dla węża, składana na początku pory deszczowej, należała do głównych hinduskich obrzędów domowych. Mrowiska czczone jako mieszkania węży. Inne zwierzęta zaś, chociaż związane z różnymi bóstwami, odgrywały już niewielką rolę w kultach hinduistycznych.”

Przodkowie nasi nie przynieśli ze sobą kultu świętej krowy, która stała się widocznie późniejszą specjalnością indyjską, ale przynieśli i zachowali kult węża, chociaż

śmiercionośnych węży (nie biorąc pod uwagę żmii) nie było na terenie ich nowego osadnictwa. Tym bardziej interesujący był.

Prawdopodobnie w rozległej literaturze hinduskiej można spotkać wiele znamiennych związków między polskim a hinduskim folklorem. Nie było badań porównawczych. Ze możliwości takie istnieją, niech wskaże następujący przykład: Z tej samej skarbnicy zakleć wydobyciem zamawianie od ukazania węża:

Królu płomienisty, gadzin panie, spojrz oczkiem spod twej korony, wężów królu, odbierz żądło od tego biedaka.
 („Wisła” 1892, s. 353)

Przedziwne to zamawianie. Przypomina hymn — do króla wężów. Może i ten hymn — w jakimś odległym szczytku — przywędrował przed wiekami z ojczyzny wężów, podobnie jak temat wielu opowiadań i legend ludowych o królu wężów i ważnej ozdobie tego pana gadzin — płomienistej koronie. W omawianych okolicznościach jest to możliwe. Wróćmy następnie do tego — szczegóły. Na tym miejscu pragnę zwrócić uwagę na pewną zbieżność naszego archetypu sanskryckiego Pańczatantra sprzed około dwóch tysięcy lat. Jest tam specjalnie podkreślone ważne zdanie: „Nawet stary wąż Maniwa, mimo że nie ma już truciźny, podnosi jednak w górę swój hełm, i choć jego jad nie jest już trujący, to sam blask jego korony sieje przerażenie!” (Pańczatantra, Warszawa 1956, s. 46)

Jak z tego wynika, korona naszych legendarnych węży nie jest rodzimą, zaślanikową baśnią. Przywędrowała z naszymi przodkami. „Blask korony” — mówię Pańczatantra. „Królu płomienisty” — zwraca się nasz archetyp.

Baśń o królu wężów, rozpowszechniona w bardzo licznych wersjach, bezspornie należy do najstarszych polskich legend i była źródłem, z którego powstawały inne legendy. Z tego źródła pochodzi także legenda o smoku wawelskim. Temat do gruntownego zbadania. Szkoda, że Frazer, który ograniczył się w swojej „Złotej gałęzi” do mitu dębu i jemioli, nie znalazł naszych materiałów w tym zakresie. Znalazłby także interesujące go motywy jemioli na leszczynie, co podobno jest zjawiskiem niespotykanym, a związek z wężami może nasunąć autorowi szereg nowych uogólnień.

S. Czernik: Fragment szkicu z książki „Polska Symbolika Ludowa i Archetypy”, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.



WANDA
KARCZEWSKA

Ta filia Teatru Polskiego stała się sceną ciekawszą niż scena główna. Przynajmniej tak wygają się sprawy na przełomie lutego i marca 1967. Poza komedię Antoniego Cwojzdzkiego „Sprzężenie zwrotne” — reszta, to jest wszystkie trzy sztuki dają wiele satysfakcji artystycznej i powoła do sporów i dyskusji. Zapoznają z głośnym, barczym i modnym, młodym pisarzem angielskim Haroldem Pinterem, ocenianym jednak bardzo kontrowersyjnie, z nie tłumaczonym do tej pory utworem Luigi Pirandella „Ja kiej mnie pragniesz” oraz ze świetnie wyreżyserowanym przez Witolda Skarucina utworem Witkiewicza „Oni” i z znakomitą rolą Boukolowskiego go w roli Kaliksta Baładaszka.

Sztuką najbardziej sugestywną, wciągającą przez swój klimat, a zarazem budzącą najwięcej oporów jest utwór Pintera „Urodziny Stanleya”, autora pozostającego pod niewątpliwym wpływem ojców awangardy paryskiej Becketta i Ionesco, ale wnoszącego swoje własne, bliższe nam treści. Jest to

SZTUKA O PRZERAŻENIU

W pensjonacie, który być może wcale nie jest pensjonatem, nad enigmatycznym morzem, ukrywa się od roku, nie wychodząc prawie z domu, 40-letni Stanley Weber. Jest podobno pianista, kiedyś koncertował w „wielkim świecie”, być może że jest to prawdą albo jego własnym mitem; jacyś ludzie, niewiadomo, wrodzy mu jak twierdzi, zaszczęli go, osaczyli i czymś mu grożą. Zaszczęli się w tym pustkowiu i swoim patologicznym niemal lekciem prowokują nieszczęście.

Grający Stanleya, znakomicie, Wiesław Michnikowski ukazuje się w pierwszych akcjach jako człowiek stłamszony strachem. Chodzi skurczony powoli, czujnie, nastuchuje. Jest pochłonięty oczekiwaniami na jakieś nieszczęście. Jest brudny, zaroił się, rozkudłany, rozmamłany. Dla otaczającej go czuła opieka właścicielki pensjonatu, 60-letniej Meg, jest opryskliwy, chwilami wręcz odrażający, ale w przystępie rozczerwienia nazywa ją pocziwym starym psem. Do tego pensjonatu ktoś regoś dnia na krótki odpoczynek przyjeżdża dwóch mężczyzn o nazwiskach Goldberg i McCann. Już sama wiadomość o ich pojawieniu się na plaży, zanim jeszcze przyszedli z bagażami do domu, wywołuje w Stanleyu paroksyzm strachu. Oni przychodzą po niego. On to wie.

Kim są ci „oni”? Wywiadkami, policją, członkami gangu, tajemniczej organizacji, którą Stanley zdradził? Nie wiadomo. Pinter nie daje na to odpowiedzi, bo nie o realia i nie o fabułę chodzi w tej sztuce, ale o ukazanie człowieka doświadczającego przerażenia, jakie każdego z nas mogło lub może nawiedzić, niezależnie od tego czy przyczyną tego strachu są konkretne, czy wyołbrzymione przez neurastenie, czy też wręcz urojone. Przerażenie — mówi Pinter — jako przeżywanie jest zawsze to samo.

Harold Pinter, jak pisze je-

go angielski apologeta, krytyk John Russett Taylor, jest Żydem i zagłada Żydów w ostatniej światowej wojnie mogła być źródłem tej sztuki o przerażeniu. Znalismy je także dobrze, zagrożeni tu, na miejscu, zawsze możliwym przysięm po nas „nieznajomych mężczyzn”, którzy mogli nas oskarżyć o co chcieli, zabrać i wywieźć dokąd chcieli i zrobić z nami co chcieli. Ale ta sztuka chce być jeszcze czymś więcej, niż tylko sztuką o ludzkim przerażeniu. Ma być jeszcze w myśl założenia autora studium metafizycznego poczucia winy i lęku przed karą. I jeszcze czymś innym — sztuką psychologiczną o oddziaływaniu naszego strachu na otoczenie: o prowokowaniu go naszym strachem do podejrzliwości i przesądzenia o na tej winie, o prowokowaniu do okrucieństwa, do nadużycia władzy, jaką miewa każdy silniejszy, i zarazem bezwzględny, nad człowiekiem leklwym przeto, słabym, bezradnym więc bezsilnym. Ten aspekt sztuki mnie osobicie wydaje się najbardziej klarowny, taka myśl konstrukcyjna przeprowadzona jest w sztuce i w spektaklu, reżyserowanym przez Jerzego Kreczmarę logicznie i konsekwentnie.

Stanley od postawy lęku nie jasnego, niewytłumaczalnego, przeżywanego w samotności — nagle, na widok niebezpieczeństwa mającego go konkretnie zaatakować, na widok owych mężczyzn — zmienił się. Przybiera postawę agresywną. Michnikowski te metamorfozy pokazał z zadziwiającą prawdą psychologiczną i wielką klasą aktorstwa.

Od momentu przybrania agresywnej postawy Stanleya wobec dwóch obcych przybyszów, którzy pod jego pewnością siebie wyczuwają prowokujący ich do natarcia strach — zaczyna się wielka „gra”. Okrutna zabawa w kotka i myszkę. Gra najpierw podpuszczania Stanleya do tym większej pewności siebie, a potem stopniowe zastraszanie go, zapędzanie ofiarę pod mur. Jakiegoś zrazu na pozór idiotyczne zarzuty zmieniają się niepostrzeżenie w przestuchanie, w bezsensowne, wydające się, śledztwo, w końcu w szantaż i tortury psychiczne.

Ze znechęca się nad nim owych dwóch przybyszów — Stanley wychodzi zszamacony obłądnym strachem; niemy, zdolny tylko do poruszenia ustami, nawet już nie do wydania głosu. Nad ranem tajemniczy mężczyźni zabierają go z sobą i wywożą dokądś samochodem. Dokąd? Do lekarza specjalisty? A może na śmierć?

Gdzie się właściwie ta sztuka dzieje? W wyobraźni Stanleya, w jego koszmarnym śnie? Przepuszczenie to potwierdza większość scen, nawet te rozegrane między Goldbergiem a McCannem w nieobecności Stanleya, w których pokazani są oni jakby przez wyobrażenie Stanleya o nich. Bo ci dwaj też nie są pozbawieni cech psychopatologicznych, jak Stanley. Cechy anormalności ma także 60-letnia Meg. Jej opiekuńczy macierzyński stosunek do Stanleya jest podszyty podejrzawym erotyzmem, jej starcze, sklerotyczne pytania ciągle o to samo w zestawieniu z jej przestępnością — przy-

wodzą na myśl sceny z filmu dla obłąkanych. Za dużo w tej sztuce psychopatologii, przynajmniej jak na naszą wytrzymałość. Autorowi cały świat wydaje się obłąkany, ludzie dręczący się wzajemnie, świadomie i nieświadomie okrucieństwem albo narzucająca się zachłanna czułość. Ulegający obsesjom, zbroceniom. Jakby wszystkie stosunki międzyludzkie układały we wzajemne piekło, osaczenie, w relacje ofiary i kata, zastraszających i straszonych.

Sztuka chce być uniwersalna, ucieka od konkretów, od jednoznaczności, a jednocześnie czyni do nich aluzje, nie bardzo zresztą zreczne; jest w tym chwilami szarłatansko pretensjonalna. ekwilibrystyczna; śmiejesz i drażnisz, którzy zbyt dobrze znamy

„BYĆ TO ZNACZY
TWORZYĆ SIĘ”

Akcja utworu dzieje się w kilkanaście lat po drugiej wojnie światowej, bohaterką jej jest Nieznajoma, niemłoda już, ale jeszcze piękna i pełna uroku kobieta, kochanka Sławego Pisarza. Jest ona aktualnie diva jednego z kabaretów berlińskich. Którejś nocy wracając w otoczeniu swoich wyrażonych partnerów i wielbicieli spostrzegła za sobą mężczyznę śledzącego ją od jakiegoś czasu; rozpoznaje w nim znajomego głoszonego fotografa Boff'ego. Boff' wchodzi za nią i jej partnerami do domu i mieszkanki Sławego Pisarza i on z kolei rozpoznaje w niej żonę swego przyjaciela Brunona Pieri, zaginioną w czasie wojny. Nieznajoma, pełna wstretu — jak się okazuje

uczyniły ją losy wojenne, nie pomogli jej ludzie, ich miłość, ich serdeczność, ich przyjaźń, ich przyzwolenie na przekształcenie się w nowego człowieka. Nieznajoma odrzuca więc rolę Lucji Pieri i wraca do zniechęconej berlińskiej postaci, do roli — z której, jak się okazuje, nie ma wyjścia, ponieważ mimo niesmak i niechęci do siebie takiego, jakim się jest — powiada Pirandello — mimo pragnienia i możliwości przewartościowania się, świat, to znaczy inni ludzie, nie pozwala się nam wyrzec samego siebie takiego, jakim się jest. Świat wlatwa nam z powrotem maski, które niekiedy bez naszej woli, częściej bez naszej aprobaty, przyrosły nam do twarzy. Jesteśmy skazani na to, aby być takimi, jakimi świat nas chce mieć. A przecież — mówi Pirandello — „Co to jest być? Być to nie znaczy być nie! Być to tworzyć się!” Jest to protest Pirandella przeciw tepemu i leniwemu, czasem wygodnie złośliwemu zamykaniu człowieka w niezdostrzeżenie człowieka, jego psychiki — w ruchu, w przemianianiu się, w procesie stania się. W możliwościach przemiany i rozwoju.

W tej sztuce Pirandella, irytującej nieco tanimi, sensacyjnymi realizmami (kabaret, rewolwer, samobójstwo, obłąd) i melodramatyzmem, w tej sztuce z całą wyświechtaną psychologią upadłej kobiety, ciekawe jest nie efektowne, żeby nie powiedzieć efekciarskie, „mięso” utworu, ale to co łączy ją ze współczesną psychologią, z zagadnieniami maski, roli, z istniejącą w człowieku wielością niemal wykluczających się możliwości bycia kim innym — w zależności od przypadku, od środowiska i jego naporu, od sytuacji w która bywamy wtrąceni. Raz po raz nasuwa się tu skojarzenia z powieścią Frischa zwłascz z „Robertem Stillerem”.

Dramatem naszym jest — wynika to ze sztuki Pirandella — niemożliwość odrzucenia „gęby”, szamotanina z nią. Gdzieś na dnie rozumowania autora leży przeświadczenie, że mimo możliwości i przemienności waszej osobowości w oczach świata i w swoim odczuciu jest w nas jakaś skaza, niemożność nie pozwalająca odrzucić zasadniczych cech naszego charakteru, losu, na jaki jesteśmy skazani, czy sami siebie skazaliśmy. Skaza czy słabość? Pogląd Pirandella można by nazwać fatalistycznym, gdy-

by nie to, że bohaterem sztuki, w której przeprowadza swoją tezę, uczynił Nieznajomą, człowieka biernego, podającego się losom i oczekującego pomocy innych w procesie kształtowania się. Jest w Pirandellu gorycz w stosunku do społeczeństwa, a nie ma postawy buntu Camusa, który możliwości uformowania się człowieczeństwa widział w ścieraniu się ze światem. W walce z nim.

Elżbieta Barszczewska tę rolę Nieznajomej zbudowała, wierna swojej osobowości aktorskiej, na rozległej gamie emocjonalności i nastrojów. Barszczewska wniosła — jak zawsze — na scenę wysoką temperaturę gry aktorskiej. Pasja społeczna Pirandella, owo oskarżanie innych o brak reki wyciągniętej do człowieka, nabiera dzięki temu ognia, gorzka wiedza o mechanizmach społecznego oddziaływania na jednostkę ludzką, na jej osobowość — zamienia się w gniewny protest. Tylko że ten typ gorącego, emocjonalnego aktorstwa akcentuje w tej sztuce to, co jest w niej z dnia wczorajszego, ze społecznikostwa, z dydaktycznych pragnień Pirandella przekształcenia mieszczańskiego świata Pierlich i Mobilich, i egoistycznego światka „złych” Sławnych Pisarzy. To co wiąże tę sztukę Pirandella ze współczesnością wymagałoby może innej tonacji, mniej szlachetnego gniewu, więcej chłodu intelektualnego i jeli goryczy, to go roryczy ironicznych konstatacji. Nie ma o co się drzeć: wszyscy jesteśmy Lucją, Nieznajoma i wszyscy dla wszystkich jesteśmy tymi „innymi”, którzy jedni drugim stwarzają piekło. Być też może, że ten Pirandello zagryną inaczej, mniej emocjonalnie, byłby to Pirandello inny, taki, jakiego byśmy pragneli, a jakim... stać się nie może. Pozostawałaby jeszcze kwestia, czy ten inny Pirandello nie okazałby się tylko zabytkiem teatralnym. Być może, że Barszczewska intuicyjnie urobiła walego Pirandella dla współczesnej widowni, własnie pasją swojej gorącej gry aktorskiej.

Teatr Kameralny dał reżyserowi, Józefowi Grudzie, zna komity zresztą zespół. Poza Barszczewską występują w niej: Zofia Małyńczak, Stanisław Jaśkiewicz, Henryk Boukolowski, Józef Malicki, Stanisław Zelenki i inni. Spektakl cechuje jednorodny klimat gry, wielka profota środowisk aktorskich. Dobry teatr, i oto jak aktorzy go współtworzą.

Korespondencja z Warszawy

TEATR
Kameralny
w marcu 67

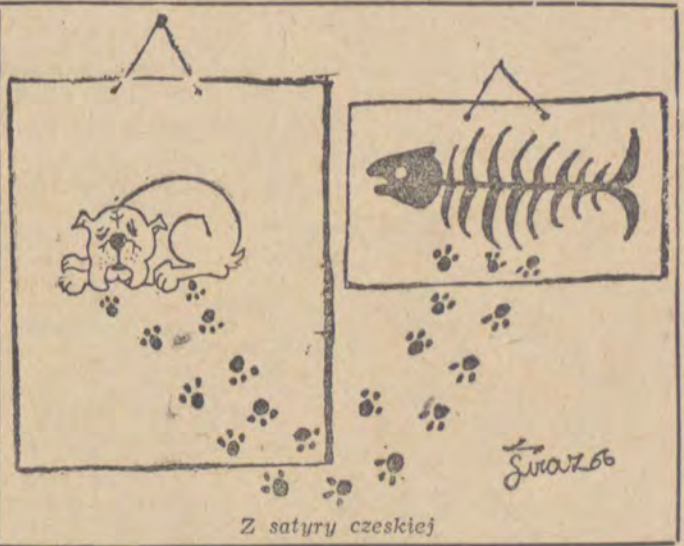
konkretnie przyczyny obsesji strachu. Wydaje się, że te na szczebie ciężkie, nieraz „namacalne” doświadczenia, którym pan Pinter przyglądał się z daleka, wykorzystane do stały do efektywnej makabrycznej gry w strach do nieuczciwej artystycznej zabawy w torturowanie nas tym, co było w przeszłości najgorsze — obrazem upadania przez obłądnego strach.

„Urodziny Stanleya” są świetnie grane. Poza Michnikowskim kreacją jest rola Meg, grana przez Barbarę Ludwiżankę. Nad wszystkimi drastycznymi, niebezpiecznymi śliskościami tej roli stała reżyserska postać, w której przetrwał wielkim taktem, subtelnością zastosowanych środków aktorskich, czyniąc swoją Meg postacią ciepłą, za łosnie śmieszna, choć mogła być odrażająca. W pamięci pozostaje również „dobroduszny lagodny olbrzym” oprawca McCann, sugestywnie zagrany przez Wieńczysława Glińskiego.

Fascynująca i irytująca sztuka. W zestawieniu z nią utwór Luigi Pirandella „Jakiej mnie pragniesz” technie czystością założeń artystycznych i niemal pocziwym zamierzeniem wychowawczym. Sens tej sztuki był zawarty w wypowiedzi jednej z postaci. Brzmi ona:

je — do swojego obecnego życia, do „dna”, w jakie zepchnęła ją wojna, bierze na siebie rolę Lucji i jedzie ze swoim rzekomy, a może prawdziwym mężem, Brunonem, do cichego zakątka włoskiego koło miejscowości Udi ne, gdzie ma wille i posiadłość podarowana jej w posagu przez żyjącego tam jeszcze wujka Salezego Mobil. Nieznajoma chce zerwać z wstrętną jej teraźniejszością, chce stać się kim innym, niż jest, nowym, odrodzonym człowiekiem o innej moralności, innej osobowości. Pragnie przywrócić swojemu życiu sens. Albo nadać temu życiu sens. Bo do końca — i tu Pirandello okazuje się zawsze sobą, zachowując w sztuce jakieś dziwności, tajemnice i niedopowiedzenia — nie wiemy właściwie czy Nieznajoma to Lucja Pieri na prawdę.

Próba przemiany, stania się nowym innym człowiekiem nie udaje się. Nie tylko dlatego, że Nieznajoma zorientowała się, że szukano jej nie z miłości i tęsknoty, i że przywieziono ją tu dla interesów. (Stryj Salęzy chce mieć żonę Lucji, Brunonowi, wobec zaginięcia Lucji, odebrać posiadłość i podarować ją siostrze Lucji, Ines, Bruno, walcząc o posiadłość może ją utrzymać jedynie, gdy dowiedzie, że Lucja żyje). Próba przemiany Nieznajomej nie udaje się, bo w tym stawianiu się jej kim innym, niż



Z satyry czeskiej

KRYSTYNA
KARDYNI-PELIKANOVA

OŚRODKI
POLONOFILSKIE
w Czechosłowacji

Bezpośrednie sąsiedztwo Polski i Czechosłowacji zawsze sprzyjało rozwojowi kontaktów kulturalnych. Wspomnijmy choć by o długotrwałej i owocnej współpracy uniwersytetów w Pradze i Krakowie, o znaczeniu bardziej wykształconego języka czeskiego dla rozwoju polskiego języka literackiego i piśmiennictwa polskiego (dziś już niemal nie pamięta się, że przed francuski i łacińską literaturą język czeski był językiem oświeconych warstw społeczeństwa polskiego, językiem — można by tak rzec — „salonowym”).

Ożywiona wymiana kultural-

na trwała i w okresie ruchów husyckich i Odrodzenia. Mieliśmy nawet wspólnych polsko-czeskich autorów tworzących w obydwu językach (Rafaelomiej Paprocki, a później już w XIX wieku Bolesław Jablonski). Po klęsce na Białej Górze w r. 1620 wielu znakomych Czechów, zwolenników reformacji, szukało schronienia przed represjami w sąsiedniej Polsce. Ktoś nie wymieni tutaj od razu nazwiska Jana Amosa Komenskigo — ojca nowoczesnej pedagogiki?

Po okresie zastoju kontrreformacyjnego, w Oświeceniu, zerwana nie współpracy — głównie naukowej i literackiej — nawiązana została od nowa.

Od czasów powstania listopadowego, które samo było dla społeczeństwa czeskiego niebiałym podnieciem do pracy nad rozwojem własnej narodowości i kultury, literatura polska staje się dla Czechów wzorem literatury europejskiej a jednocześnie rodzimej, bo bliższej językiem i charakterem narodowym. Od niej właśnie wielu znakomych twórców czeskiej literatury swa edukację literacką i ideową (Karol Hynek Mácha, Karol Havlicek-Borovský i inni). Już wtedy zaczęły się krystalizować ośrodki polonofilskie w Pradze, a na Sło-

wacji — w Bratysławie i Martinie, gdzie działał Stur i grupujące się wokół niego grono młodych pisarzy.

Jeszcze silniejszymi uczuciami polonofilskimi rozgorzało społeczeństwo czeskie w okresie powstania styczniowego. Rozbudzona świadomość narodu wa czeska, rozwijające się tendencje demokratyczne, sprzyjały zrozumieniu polskich wysiłków wyzwoleniczych. Internowa nie wielu powstanców polskich w miastach: Olomouc, Hrádec Králové, Josefów, Jihlava, Telc prowadziło do nawiązywania bezpośrednich kontaktów między Polakami i Czechami. Żywymi dowodami przyjaznych uczuć dla Polski, obok licznych publikacji poświęconych Polsce, były zbiórki pieniężne na rzecz powstania i udział ochotników czeskich i słowackich w samym powstaniu.

Od początku XIX wieku wielu pisarzy i naukowców ze strony polskiej i czeskiej nawiązywało między sobą osobiste kontakty przetrastające nieraz w długoletnią przyjaźń. Wymienimy tu przykładowo takich jak Dobrowski, Hanka, Cielakowski, Purkyně, Fricz, Vrchenský, Zeyer, Stásek, Jirásek, Kvapil, Jelinek, Halas, Pilarz ze

strony czeskiej, czy Kraszewskiego, Orzeszkowa, Asnyka, Konopnicka, Br. Grabowskiego, Miriama, Gałczyńskiego ze strony polskiej. Niejednokrotnie ośrodki polonofilskie powstawały w miejscach zamieszkania i pod wpływem pracy poszczególnych pisarzy (Mokry, F. Vodniany, Hora — Pilzno, F. Kvapil i inni — Praga, Svítill — Karnik — Nowe Miasto na Morawach). W okresie międzywojennym do dawnych form współpracy przybyły nowe: ośrodki polonofilskie powstawały na uniwersytetach w Pradze, Brnie, Bratysławie, w wielu miejscowościach powstawały oddziały Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Czeskiej, które nawet w okresach nieporozumień między obu państwami skupiały prawdziwych przyjaciół Polski i jej kultury.

Po drugiej wojnie światowej równoległe ze współpracą gospodarczą obu krajów rozwijała się na szeroka skalę współpraca kulturalna, wymiana doświadczeń naukowych, wzajemne odwiedziny pisarzy, dziennikarzy, zespołów teatralnych itp. W Pradze i Bratysławie (podobnie jak z drugiej strony w Warszawie) powstały Ośrodki Kultury Polskiej ułatwiające wymianę informacji. Powołano centra wiedzy o Polsce, jej historii i kul-

turze powstały obok uniwersytetów w Czechosłowackiej Akademii Nauk. W ośrodku naukowym prasskim obok szeroko znanego prof. Karola Krejczego, autora „Historii literatury polskiej” i wielu innych prac z dziedziny literatury polskiej wymienić trzeba prof. J. Dolanckiego (autora poważnej pracy o wpływie Mickiewicza na literaturę czeską przed r. 1848), doc. O. Bartosza, zajmującego się zwłascz polską literaturą współczesną dr J. Beczke i dr A. Miesziana, z historyków zaś przede wszystkim doc. W. Zaczka, spod pióra którego wyszło wiele pionierskich, bogactw materiałowo prac o stosunkach i współpracy polsko-czeskiej w XIX wieku.

Bogaty dorobek naukowy ośrodka bernskiego jest przede wszystkim zasługą wielkiego przyjacielu Polaków, długoletniego organizatora wzajemnej współpracy polskich i czeskich historyków, doktora honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego — prof. Józefa Macurka, profesorów Zawodskiego i Hrabaka, docentów Kolejki, Kudielki i Krystynka. W Olo-muńcu językoznawstwem i literaturą polską zajmują się doc. J. Damborsky i dr H. Jechova, w Ostrawie dr J. Korzeniny, w Opawie doc. A. Grobel-

ny, autor wielu publikacji historycznych.

Kiedy Edward Jelínek w końcu XIX w. wydawał pierwszą bibliografię poloników czeskich zebrało się tego na pokaznych rozmiarów księżeczce. Dziś dokonanie tego typu zestawienia wymaga systematycznego wyliczku całego kolektynu pracownikow nauki. Każdy rok do katalogu Instytutu Słowiańskiego w Pradze dorzuca wiele nowych pozycji. Spośród większych prac opublikowanych w ciągu kilku ostatnich lat a zajmujących się całkowicie lub w znacznej mierze problematyką literatury polskiej wymienić można: K. Krejczego „Heroldika w hásnětvi Slovanu”, Praga 1964, J. Pelikána: „Recept cja twórczości J. Słowackiego w literaturze i społeczeństwie polskim”, Brno 1963 (praca pisana po polsku); H. Jechoveli: „Esnický obráz J. Słowackého”, Praha 1966, J. Krystynkat „Polské vlivy v české literaturze meziválečné”, Brno 1966, wreszcie dwutomowa prace zbiorowa „Česi a Poláci v minulosti”. Zapoczątkowana przed tysiącem lat współpraca i przyjaźń polsko-czeska dziś — w warunkach wyjątkowo sprzyjających — przynosi trwałe owoce prowadząc do coraz większego zblizenia między obu bratnimi narodami.

MARIA
KORNATOWSKA

Bergman i inni

Nastaly czasy nowego „potopu” czy szwedzkiej nawały w Warszawie. Tyle tylko, że tym razem chodzi o potop po kojowy czyli przegląd szwedzkich filmów, odbywający się w dniach od 16. III do 8. IV. Przeglad zorganizowało Centralne Archiwum Filmowe w porozumieniu z Archiwum Szwedzkim. Odbywa się on pod hasłem „Bergman i inni” i obejmuje dziewięć filmów fabularnych oraz cztery krótkie metraże o charakterze dokumentalnym. Zły los dzieła prowincji nie pozwolił nam, niestety, uczestniczyć w całości tej imprezy. Ale świadcy bardziej przychylnie daty możność obejrzenia kilku z prezentowanych dzieł. Nie widzieliśmy (lepiej od razu uprzedzić) dwóch filmów Donnera „Tu zaczyna się przewrót” i „Wrześniowej niedzieli” oraz „Zakochanych par” Mai Zetterling, znanej ongiś gwiazdy bohaterki „Skandalu”.

Bergman i inni... Tyle się mówiło o opozycji antybergmanowskiej. Jaka dość wyraźnie zarzynała się w Szwecji od roku 1963. Sjöman, Widerberg, Donner, Carlsen — oto nazwiska, które miały przeciwstawić Bergmanowi — tradycjonalistę, szwedzka nowa fala. Czwaltaliśmy sporo o jej sukcesach. Widzieliśmy „Kochankę” Sjömana, „Dzieci cięcy wózek” i „Dzielnice kruków” Widerberga, „Kochankę” Donnera. Niektóre z tych filmów były interesujące. Zawierały nowe propozycje. Teraz otrzymaliśmy możliwość bezpośredniej konfrontacji Bergmana z jego adwersarzami.

„Charakterystyczna dla współczesnego kina szwedzkiego jest atmosfera polemiki” — powiedziała Sjöman. Oczywiście z Bergmanem. Polemika, twórcza polemika należy zawsze do zjawisk heroicznych. Bowiem porównanie się na walce z Bergmanem uważa można za czyn heroiczny. Bergman, używając ter-

minologii sportowej, dystansuje swoich przeciwników o wiele długości. I dlatego to chyba najlepsze określenie: Bergman i inni. W gruncie rzeczy liczy się tylko on. „Je steśmy dumni z tego, że jest on ze Szwedem i jego filmy są szwedzkie” — mówi krytyk Harry Schein.

Twórczość Bergmana należy rzeczywiście do wyjątkowych i wykracza daleko poza ramy świata ścisłe filmowego. Istnieje jako niezaprzeczalny moment dwudziestowiecznej kultury. Bergman potrafi stworzyć własny, fas cynujący świat, przesycać go nie tylko poezją ale i myślą. Jego filmy są dramatycznym dialogiem z sobą samym i z rzeczywistością. Interesują go sprawy ostateczne: Bóg, miłość, śmierć, sztuka, samotność. Interesuje go przede wszystkim człowiek i sens jego istnienia. Człowiek u Bergmana nie jest stworzeniem biologicznym, społecznym, czy też historycznym. Jest czymś znacznie więcej. I w tym tkwi chyba tajemnica jego wielkiej sztuki. Potrafi uchwycić w rzeczywistości ludzi i przedmiotów. Ja kiś czwartki, nie dając się sporyzować wymiar, coś co leży poza granicami naszego bezpośredniego doświadczenia. Stąd niemal magiczny urok jego obrazów. Bergman ma w sobie rzeczywistość coś z prestidigitatora, kuglarza.

Otoczony powszechnym uznaniem, został od pewnego czasu odsunięty nieco w cień przez sukcesy nowej fali, uznany przez niektórych za reprezentanta kina tradycjonalistycznego, ateleologicznego. Trylogia „Jak w zwierciadle”, „Gościach Wieczery Pańskiej”, „Mileczeniu” znako micie ilustruje ewolucję wielkiego reżysera. Ilustruje drogę jego sztuki od czyszczenia jego dzieła z namiętności erotyzmu i teatralności, stopniowe dochodzenie do maksymalnej prostoty, gdzie forma tak ściśle przylega do treści, iż stała się niemal przezroczysta. Najważniejsze motywy trylogii dała się właśnie sprowadzić do trzech zasadniczych punktów: sztuki kina, samotności, czyli niemożności znalezienia kontaktu z drugim człowiekiem.

Punktem wyjścia i odniesienia jest dla Bergmana filozofia egzystencjalizmu w kierkregardowskim wydaniu. Motyw sztuki znajduje swoją kulminację w pierwszej i drugim zdaniem nastają-

cej, najbardziej teatralnej części trylogii w „Jak w zwierciadle”. Motyw Boga w „Gościach Wieczery Pańskiej”, o samotności w „Mileczeniu”. Oczywiście tego rodzaju podział o ile traktowany dosłownie i rygorystycznie, grzeszy schematyzmem, niemniej jest konieczny. W „Gościach” i „Mileczeniu” nie ma fabuły w tradycyjnym znaczeniu. Wydarzenia zostają zredukowane do minimum. Nic się właściwie nie dzieje w sensie zewnętrznym. Dlatego nie sposób opowiedzieć tych filmów. Istotne dla autora są tylko zmagania wewnętrzne, stany emocjonalne, dyskurs filozoficzny. „Goście” pozornie przebiega regułom filmowej gry. Film wypełniają nie kończące się monologi i dialogi, twarze aktorów i zimne, białe światło szwedzkiej zimy. Bohaterem jest pastor przeżywający kryzys wiary w Boga i w siebie we własne posłannictwo i sens swego istnienia. Jest także nauczycielka, która go kocha i bez której nie potrafi się on obejść, choć w gruncie rzeczy ją nieświadzi, ponieważ w niej, jak w zwierciadle odbija się jego własne słabości. Dramat jest zarazem bardzo ludzki i bardzo metafizyczny. Dotyczy spraw codziennych i spraw ostatecznych. Bóg jest miłością — utrzymuje Bergman. Miłość jest jedyną rzeczywistością w świecie ludzi. Miłość jest jedynym usprawie dliwieniem i jedynym sensem ludzkiego istnienia. „Najważniejszym w życiu człowieka — powiedział kiedyś Bergman — jest możliwość nawiązania kontaktu z drugą ludzką istotą. Jeżeli uda ci się zrobić ten pierwszy krok ku zbliżeniu, zrozumieniu, miłości, jesteś uratowany”.

„Mileczenie” to film o samotności, rozpaczy, bólesnej. Oslawione sceny erotyczne są tu niemal krzykiem rozpaczy. Tam, gdzie zawodzi możliwość istotnego porozumienia pozostaje brutalny kontakt fizyczny. Tam, gdzie nie ma miłości, powstaje erotyka. Postacie Bergmana pragną kochać i lekać się miłości. Miłość domaga się pewności, a ta nie istnieje. Ludzie są sobie zawsze obcy. Dramat bergmanowski bohaterów obiega na nieustannym miotaniu się między miłością i nienawiścią, pragnieniem zbliżenia

się przed utratą własnej godności, wolności, między samotnością i szukaniem najprostszyc słów porozumienia. W „Mileczeniu” dramat ten osiągnął najwyższy stopień intensywności i wyrazistości. Dwie siostry nierozumiejące się nawzajem w obym kraju, w którym ludzie postępują się zupełnie nieznanym językiem. Rzeczywistość układa się w mozaikę niezrozumiałych i niezwią zanych ze sobą wrażeń. Zrozumiałe jest tylko to co dotykające. Trzecią osobą dramatu jest dziecko, dla którego świat także nie może ułożyć się w jakąkolwiek całość. Bergman przede wszystkim śledzi twarze swoich bohaterów. Sam powiedział, że „kamieniem probierczym i miernikiem wartości filmu jest sposób w jaki reżyser ukazuje twarz człowieka”. Bergman pokazuje twarze obsesyjnie, w zbliżeniach. Długo, znacznie dłużej niż to przewidują reguły gramatyki filmowej. W twórczości nowej fali człowiek bywa najczęższym tylko jednym z elementów rzeczywistości, elementem przedmiotowego świata. U Bergmana stanowi jedyną autentyczną rzeczywistość. Rzeczywistość przedmiotowa, otaczająca świat jest tylko scena, na której ludzie rozgrywają swoje dramaty, dramaty swoich dusz.

Wielkość sztuki Bergmana wymyka się definicjom. Moż na co najwyżej określić jej niedostatki. Być może najbliższą prawdą odczujemy, przypominając ów dziwny dreszcz niepokoju, jakiego doświadczyło dwoje wędrownych aktorów z „Siódmej pieczęci” w chwili gdy prze chodzą koło nich anioł śmierci.

Wśród tych „innych” ciekawą pozycję stanowi film Sjömana „491”, głośny ongiś z uwagi na swą drastyczność. Reżyser szokuje widza różnymi rodzajami fizycznej brutalności. Film opowiada historię kilku młodocianych przestępców, których grupa szlachetnych wychowawców, zamierza reedukować przy pomocy dobrych przykładów i naukowo opracowanych technik. Społeczeństwo, czując się odpowiedzialne za swoje czarne owieczki i przyjmując pokora całą winę na siebie. Te humanitarne metody nie przyniosły jednak pozytywnych skutków. Koncepcja reżyserka zmierza w stronę maksymalnego autentyzmu.

Kronikalny styl zdjęć, świąt domu niechlujność realizacji, niezadowolony aktorzy. Chwilami jednak film staje się plastycznie naturalistyczny, chociaż z drugiej strony, Sjöman nie potrafił oprzeć się pokusom mistycyzmu. W końcu dramatyczny konflikt między szlachetnym wychowawcą i przywódcą młodych przestępców urasta do metafizycznego konfliktu zła i dobra. Wartość filmu tkwi przede wszystkim w jego naszy społecznej, Sjöman odwołania obłudnej i zakłamanie społeczeństwa kierującego się zasadami „postępowego humanitaryzmu”. W istocie ów pozorny humanitaryzm jest tylko objawem słabości.

Bardzo słabe są dwa pozostałe filmy. „Miłość 65” dzieło Bo Widerberga, proroka nowego szwedzkiego kina, pisarza i krytyka, stanowi w gruncie rzeczy żalostną parodię nowofalowych chwytów stylistycznych, które tu stają się sztuczkami. Treścią filmu, wierzymy na słowo Widerbergowi, jest kryzys twórcy i osoby pewnego znanego reżysera filmowego, zreszcie charakterystyzowanego na Felliniego. Na czym ten kryzys polega dokładnie nie wiadomo. Główny sens filmu tkwi zapewne w tzw. metaforze czyli w latawcach, które z uporem godnym lepszej sprawy, puszczają w niebo jego bohaterowie. Widerberg obejrzał dużo filmów, przeczytał dużo rozpraw teoretycznych i w rezultacie zrealizował dzieło będące swoistym skrzyżowaniem „8 i pół” Felliniego z twórczością Godarda. Bardzo interesująca tendencja współczesnego filmu na którą zwrócił uwagę Pasolini, czerpiąc inspiracje z samej techniki i tworzywa filmowego została tu wypaczona i doprowadzona do absurdu.

Nieporozumieniem jest też film Carlsena „Koty”, adaptacja sztuki teatralnej. Coś w rodzaju apoloii miłości lesbijskiej na tle nowoczesnej pralni. Niedobry, naturalistyczny teatr. Naturalizm, babranie się w biologii, drastycznych ekscesach erotycznych, wydaje się cechą do minijąca kina szwedzkiego. Nie potrafi się ono zdobyć na dystans, na autoironię. Nie potrafi znaleźć człowieka w społeczeństwie, w historii.

PS. A może by tak należało zakupić nowe filmy Bergmana?

DRUGI CZYTELNIKU! Redakcja prosi Cie o wyrażenie opinii o „ODGŁOSACH”. W naszej ankiecie zaznacz znakiem plus (+) działy, które Cie interesują i które uważasz za dobrze redagowane. Znakiem minus (-) zaznacz te działy, które oceniasz negatywnie.

Prosimy Cie również o Inne uwagi o naszym piśmie.

Każda nadesłana ankieta weźmie udział w comiesięcznym losowaniu cennych nagród książkowych, a redakcja pomoże w lepszym zrozumieniu potrzeb czytelników Łodzi i regionu łódzkiego.

Wypełnione ankiety prosimy nadsyłać do redakcji „Odgłosów”, na adres: Łódź, ul. Piotrkowska 96.

	+	-
rozmowy i wywiady		
sprawy międzynarodowe		
zagadnienia ekonomiczne		
problemy obywatelowe		
reportaże		
opowiadania i fragmenty powieści		
poezja		
recenzje książkowe i teatralne		
film i TV		
teletony		

O czym jeszcze chciałbyś czytać w „Odgłosach”?

Nazwisko i imię : : : : :
: : : : :
wiek : : : : :
zawód : : : : :
adres : : : : :

TERESA
WOJCIECHOWSKA

BOHATERO WIE WIELA IMION

Złote i srebrne masło — plebiscytu warszawskiego „Ex pressu Wieczornego” — vox populi wybierający najpopularniejszych aktorów roku, był tym razem laskaw dla Łodzi. Srebrnymi maskami obdarzył dwoje młodych łódzkich artystów, Pola Raksa i Janusza Gajosa. Obydwoje są absolwentami łódzkiej PWSTFiF. Obydwoje po studiach pozostali w Łodzi — Pola Raksa w Teatrze Powszechnym, Janusz Gajos w Teatrze im. Jaracza. Obydwoje na początku swej kariery zawodowej zdobyli popularność o jakiej wielu aktorów marzy przez całe życie.

W przypadku Gajosa sprawa jest jasna. „Cztery pancerni i pies”. W przypadku Raksa? Chyba również, choć nakreśliła przedmiotem sporo filmów. Dla licznych wielbicieli jest i pozostanie Marusia z telewizyjnego serialu „Mniej liczni zapamiętają ją jako Julie, Luize, czy Joannę z sceny. Choć wysiłek i efekt artystyczny jest nierównomierny. Ale takie są drogi, którymi chodzi sława.

Pola Raksa rozpoczęła swą karierę aktorską dość nietypowo. Taka kariera śni się po nocach egzaltowanym dziewczętom, a zdarza się tym, które o niej wcale nie marzą. Pola Raksa była studentką polonistyk w Wroclawiu i skończyła studia spokojnie, gdy pewnego dnia

nie wstąpiła do baru na obiad. I gdyby nie przebywał tam jednocześnie fotoreporter „Dookola Świata” polujący na „gwiazdy tygodnia”. Zdjęcie zostało zrobione, ukazało się w tygodniku, a był to czas gdy Maria Kaniewska szukała obsady do „Szatana z siódmej klasy” wśród autentycznej młodzieży. Przyszło zaproszenie na próbną zdjęcie. Negatywna rola na drodze do kariery odegrała tu mama bohaterki, która powiedziała: jechać może, ale pieniędzy nie dam. Pieniądzy na podróz dała



Pola Raksa
(Fot. Z. Krajewski)

wyższa instancja, czyli babcia i dzieki niej Pola Raksa mogła zwycięsko przejść przez trzy szczeble eliminacji. Ale kiedy wróciła do Wroclawia, mama zaprotestowała czynnie przeciw dalszej karierze filmowej. Kierownik produkcji „Szatana” trzy dni spędził we Wroclawiu na przekonaniu mamy o tym, że Pola musi zagrać. Obwarowawszy umowę wieloma zastrzeżeniami mama dała wreszcie

placet, wcale nie przekonana o słuszności swej decyzji. Na tym negatywna rola mamy w karierze córki kończy się. Kiedy ta ostatnia wstąpiła do studia do PWSTFiF, mama uznała, że teraz wszystko jest w porządku. A stało się to dopiero po dwóch filmach: „Szatanie z siódmej klasy” i „Rzeczywistości”.

W trakcie studiów filmy, na ostatnim roku już teatr. A potem telewizja. Od pierwszej roli minęło sześć lat, które podsumowują się szesnastoma filmami, kilkoma rolami w teatrze i kilkoma w telewizji. Czy jest zadowolona z zamiany, polonistki na aktorkę? Mówi:

— Prawde powiedziawszy nie miałam do tej pory czasu, żeby się nad tym zastanowić. Wpadłam w tryby potężnej maszyny, przez sześć lat ani razu nie miałam urlopu i to jest w tej chwili moje największe marzenie. Dostaje po kilkadziesiąt listów dziennie od wielbicieli, wielbicieli i wielbicielek. Dla jednego jest Marusia, dla innych Beata, Zosia, bohaterka wielu imion, które nosiła w wielu rolach. Z Łodzi, z całego kraju, także z zagranicy. Wiele listów przychodzi ze Związku Radzieckiego. Grała w dwóch filmach radzieckich i podbiła serca tamtejszych kinomanów. Ich listy cenę szczególnie wysoko. Piszą serdecznie, tylko po to, aby podziękować za przeżyte dzięki niej wrażenia, by wyrazić swą serdeczność i sympatię. Stamtąd przychodzą listy również od dorosłych, u nas pisze przeważnie młodzież. Czasem również z bezinteresownymi słowami sympatii, czasem z jakąś prośbą, a czasem, hm, jakby to określić... Pewna 18-letni młodzieniec zaproponował, by sfinansowała jego studia aktorskie. No, po prostu, on czuje, że ma talent, ja kocha, więc chyba nie będzie w tym nic złego jeśli ona się nim zaopiekuje.

Teatr, film, telewizja — czasem tak się składa, że przygotowując trzeba trzymać jednocześnie. Czy to przeszkadza, czy uzupełnia się, czy może gdyby była możliwość wyboru jednego tylko kierunku, to który?

— Teatr daje żywy kontakt z publicznością, to ważne, daje też największe możliwości starannej pracy nad rolą. Film przynosi dużą popularność, jeśli rola się uda, to pozostaje utrwalać na długo. Telewizja w jakimś stopniu łączy oba te gatunki, z obu bierze to co najlepsze.

Janusz Gajos myśli podobnie. Nie jest to chyba przypadkiem. Podobnie w pewnym sensie kształtowały się jego drogi do kariery aktorskiej, o początkach opowiada z równym humorem o jego koleżanka.

— Zaczęło się to jeszcze w gimnazjum. Byłem w X klasie, kiedy szkoła przygotowywała inscenizację XII księgi „Pana Tadeusza”. Kompleksy zaczęły się przy obsadzeniu roli Tadeusza. Żaden z chłopców nie chciał się tego podjąć. Piłka, pływanie, sport to dla X-klasisty coś, ale przedstawienie? W dodatku jeszcze trzeba było tańczyć poloneza! Tak się jakoś złożyło, że pod groźbą obniżenia stopnia ze sprawowania zostałem Tadeuszem. I zaczęło mi się to podobać. Nie tyle powołania, ile oklaski, reflektory, scena i cała atmosfera. Zainteresowałem się recytacją. Po parokrotnym udziale w Konkursie Recytatorów, uwieńczonym dobrymi rezultatami i dwukrotnych nieudanych próbach zdania egzaminu do PWSTFiF, po trzeciej wreszcie rozpocząłem studia na wydziale aktorskim. No a potem wszystko potoczyło się już normalnie. Po studiach zostałem zaangażowany do Teatru 7.15 i zostałem w Łodzi.

Jest dopiero dwa lata aktorem. Ma na swym koncie wiele ról filmowych, teatral-

nych, kilka telewizyjnych. To dużo. Obecnie kończy zdjęcia do filmu P. Komorowski „Nasze życie”. Gra główną rolę — 20-letniego chłopca, którego okupacja, walka polnienna wciąga w problematykę, jakiej nigdy by nie



Janusz Gajos
(Fot. S. Pindelski)

poznał w czasie pokoju. W teatrze przygotowuje główną rolę w sztuce Arbusowa „Biedny Marat”. To już zadania poważne i odpowiedzialne.

A tymczasem dla swych plebiscytowych wyborców i wielu innych wielbicieli jest Jankiem Kosem z „Czterech pancernych”. Listy przychodzą do domu, do telewizji, do teatru. Pisane ortograficznie i nieortograficznie, pięknie ozdabiane rysunkami, kwiatkami, a nawet zdjęciami wielbicieli.

„Kochani Pancerni i Pies! Film mi się bardzo podobał i chciałbym zobaczyć go jeszcze. Janku jestem ciekawy jak Ty się spotkasz z Klosem po powrocie z Berlina. Szarik był bardzo śmieszny z tą kielbasą niemiecką...”. „Najdroższy Janku! Mam dziewiętnaście lat i jeszcze cały rok nauki przed sobą. Nie wyobrażasz sobie jaką jestem w Tobie zakochana. Oglądam każdy teatr tele-

wizji w nadziei że Ciebie tam zobaczę. Chciałabym mieć takiego chłopca jak Ty. Mówia, że taka miłość szybko mija, ale ile to się trzeba namęczyć aż to ustąpi. Janusz, ja Cie bardzo kocham i z czystym sumieniem mogę powiedzieć że żadnemu mężczyźnie tego nie powieiedziałam i nie napisalam, chociaż taka brzydka to wcale nie jestem. Odpisz mi koniecznie. Kochająca Krystyna”.

„Kochanie! Po nocach wogule nie śpiąc ciągle o Tobie marzę. Chciałabym mieć Cie za męża, ale mama musi ze nie z tego nie będzie...”

„Wcale nie jesteś ładny i jesteś zarozumiały, ale ja jestem taka, że każdemu mówię prawdę. Przysli mi swoje zdjęcie, żebym się przekonała, że nie jesteś zarozumiały...”

I tak dalej i dalej. A przed Domem Aktora, gdzie mieszka Janusz Gajos zbierają się grupki młodocianych entuzjastów. Zaczepiają mieszkańców Domu.

— Proszę pana czy tu mieszkają czterech pancerni i pies?
— Nie, tu mieszka tylko pies.
— Naprawdę?
— Naprawdę.
— Szarik?
— Nie, Napoleon.
— To on zmienił nazwę?
— Nie, on zawsze był Napoleon.

— Eee, pan nas buja... Istnieją obawy, że Napoleon, który istotnie mieszka w Domu Aktora nigdy nie zdobędzie sławy Szarika. To jest życie.

Kto, co, kiedy?

relacje

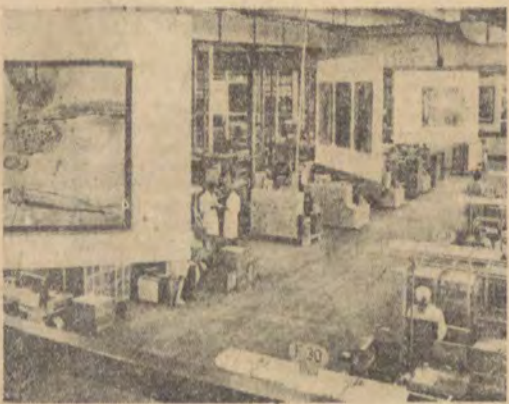
niedyskrecje

GALERIE OBRAZÓW W FABRYKACH

Kilka miesięcy temu zorganizowano w Paryżu wystawę obrazów przeznaczonych do dekorowania sal fabrycznych. Jaka była geneza tego pomysłu i tej wystawy? Otóż kierownictwo jednej z fabryk papierosów,

brzyce tej po rozwieszeniu obrazów zmniejszyła się fluktuacja personelu. Obecnie organizatorzy wystawy paryskiej przewieźli ją do Brukseli, gdzie urządzono ją w sali specjalnie do tego przygotowanej. A przypomnijmy, że wykładem typowa hala fabryczna.

Okazało się, że zainteresowani i pomagali w ukryciu wianu Żydów. Jego przelaz na Węgrzech był tak wielki, że Niemcy nie wazyli się go uknąć. Po wojnie Zoltán Kodály brał się znowu z całą energią do pracy układając nowy model kształcenia młodzieży muzycznej.



chcąc przeciwdziałać monotoni pracy fabrycznej, rozwinęło tytułem eksperymentu, na ścianach hal fabrycznych obrazy znanych mistrzów. Pomysł ten zyskał nie tylko aprobatę i zainteresowanie robotników, ale jak się wkrótce okazało, w fa-

resowanie wystawą w Belgii było jeszcze większe niż w Paryżu. Podczas gdy we Francji zwiędzali ją głównie artyści i działacze kultury, to w Brukseli przybyli obejrzeć wystawę głównie kierownicy przedsiębiorstw.

ZOLTAN KODALY

W wieku lat osiem dziesięciu pięciu zmarł na Węgrzech Zoltán Kodály, muzyk wielkiej klasy, człowiek szlachetny i szczeniwy. Zoltán Kodály znakomity węgierski kompozytor, urodził się w roku 1882. Pisał utwory orkiestrowe jak „Tańce z Galanty”, utwory kameralne i wokalne instrumentalne („Psalmus Hungaricus”). Napisał też wiele pieśni i do konia opracował węgierskich melodii ludowych. Ci, którzy go znali pamiętają jego wysoką postać, lekko zgarbioną przez brzemie lat, wspominają jego oczy o przenikliwym wyrazie. Jego twarz pełną szlachetności, białe włosy zaczesane do tyłu.

Zoltán Kodály wiele dokonał w dziele spopularyzowania muzyki w swym kraju. Będąc młodym człowiekiem Kodály w towarzystwie swego serdecznego przyjaciela Beli Bartoka przemierzał całe Węgry. Obydł muzyki zbierając autentyczne, ludowe pieśni i tańce. Zadanie nie było łatwe. Wymagało wiele wytrwałości i trudu. Ale dzięki ich pracy, skarby ludowej muzyki węgierskiej zostały odnalezione, zanotowane, spopularyzowane. Ci

dwaj ludzie wykonali tę niezwykle wartościową, żmudną pracę cicho i bez rozgłosu. W 1909 roku gdy Zoltán Kodály ma lat 27, zostaje profesorem kompozycji w konserwatorium w Budapeszcie i pracuje tam przez wiele lat. Dopiero dwa lata temu odchodzi z tej pracy. Czteromiesięczny pobyt w Paryżu w roku 1907 wywiera na niego ogromny wpływ. Poznaje tam osobistości takie stawy jak Debussy, Fauré, Ravel. Wraca następnego roku do Budapesztu. Z tego czasu pochodzi jego dzieło „Medytacje nad motywem Claude Debussy'ego”.

Zoltán Kodály wiele czasu i wysiłku poświęcił sprawie nauczania muzyki i reformie szkolnictwa muzycznego w swym kraju. Głosił, że nauczanie muzyki powinno się zaczynać jak najwcześniej, nim smak muzyczny nie ulegnie zepsuciu. Najlepszą szkołą umuzykalnienia według niego, jest śpiew chórny. Kodály był nie tylko utalentowanym muzykiem, był człowiekiem o wysokiej etyce. Podczas okupacji, pomimo groźb i nacisków, kategorycznie odmówił zerwania i rozwodu ze swą żoną, pochodzącą z rodziny żydowskiej. Czynnie uczestniczył w ruchu

WĘGIERSKI FOTOREPORTER

Miklós Bohanek określany jest w węgierskiej prasie jako „poeta-fotograf”. Bo też specjalnością jego są sceny rodzajowe pełne humoru, pogody, słońca i poezji. Bohanek spędził swe dzieciństwo na przedmieściach Budapesztu. Jak wszyscy młodzi ludzie w podmiejskich dzielnicach uprawiał z zapałem grę w piłkę nożną i marzył o karierze sportowej. Słynnym sportowcem jednak nie został, a swą karierę zawo-

wał rozpoczął jako ślusarz samochodowy. Potem pracował w różnych zawodach, rozwoził autem dzienniki, administrował domami, był intendentem. Wreszcie w roku 1948 trafił jako pracownik do laboratorium fotograficznego w jednym z wydawnictw prasowych. Tu interesuje się żywo fotografią i w roku 1955 robi dla prasy swój pierwszy fotoreportaż. Od tego czasu Miklós Bohanek, dziś już 36-letni, zamieścił w czasopiśmie tysiące zdjęć. Jest fotoreporterem najbardziej poczytnych węgierskich tygodników.

Tradycyjną nagrodę Nowojorskiej Akademii Filmowej — Oscara — za najlepszą piosenkę filmową 1965 r., przyznano kompozyteli Tom Springfielda — „Georgy Girl”. Utwór ten, w wykonaniu australijskiego zespołu the Seekers osiągnął szczytową pozycję amerykańskiej listy best-sellerów wg pisma „Billboard”, a sukces ten został przypiętowany przyznaniem zespołowi kolejącej Złotej Płyty. Obecnie płyta ta wydana w Anglii cieszy się nie mniejszym powodzeniem, niż w Ameryce.

Występy zespołu the Manicees w W. Brytanii spotkały się z ostrą krytyką za znużającą słaby poziom członków grupy jako instrumentalistów. Podejrzewa się ich, że do nagrania płytowych angażują zawodowych muzyków. Następną płytą będzie „A little bit, a little bit you”. Autorem tego utworu oraz ich poprzedniego wielkiego sukcesu „I'm a believer” jest nowa gwiazda amerykańskiej piosenki, Neil Diamond.

Crispian St. Peters nie cieszy się obecnie tak wielką popularnością w Anglii jak przed rokiem. Po ostatnich niepowodzeniach, Crispian odbył tournée po Australii, które zdecydowało o dalszej jego karierze. Postanowił on, pozostać na dłuższy okres czasu w tym kraju, a swoje nowe płyty nagrywać wyłącznie dla wytwórni australijskich.

Jednym z najbardziej cenionych kompozytorów i piosenkarzy w chwili obecnej jest Jonathan King. Niedawno zawarł o bardzo korzystny kontrakt z wytwórnią płytową Decca na osobiste kierowanie karierą takich gwiazd jak: the Hedgehoppers Anonymous, the Writ, Rick and Sandy, Mick Tinsley. Ostatnim jego nagraniem jest płyta „Seagulls”, świadcząca o wszechstronnym opłataniu rzemiosła piosenkarzkiego. Warto dodać, że zalicza on się do nielicznych piosenkarzy posiadających wyższe wykształcenie.

Oto w jaki sposób Tom Jones ocenia najpopularniejszą gwiazdę światowej piosenki — „Chciałbym, aby Steve Winwood nie kopiował Ray Charlesa”. „Nie sądzę, abym mógł kiedykolwiek polubić Cliffa Richarda”. „Cilla Black wybiera zbyt trudne piosenki, jak na swoje możliwości”. „The Four Tops są zbyt komercyjni i dlatego nie kupię żadnej ich płyty”. „Podczas koncertu the Beach Boys nie są w stanie zaprezentować tego, co słyszymy na ich płytach”.

Król folk music, Bob Dylan, nie będzie już więcej nagrywał płyt dla wytwórni CBS. Ostatnio podpisał kontrakt z wytwórnią MGM, dla której będzie nagrywał swoje następne piosenki, jednak jego nowa płyta nie ukazuje się zbyt szybko, ponieważ Dylan przebywa na rekonwalescencji po wypadku motocyklowym, któremu uległ w sierpniu ubiegłego roku. Jego największy brytyjski konkurent Donovan otrzymał niedawno propozycję napisania muzyki do wystawianej przez Teatr Narodowy sztuki wg Williama Szekspira „Jak wam się podoba?” z Laurence Olivierem w roli głównej. J. J. J.

ZMARŁ HENRI PERRUCHOT

Jeszcze niedawno André Maurois, mówiąc o wielkiej serii biograficznej francuskich impresjonistów, nad którą od lat pracował Henri Perruchot, powiedział: „Jest to olbrzymia praca, która trzeba wykonywać bez wychnienia, aie Henri Perruchot lubi samotność i lubi pracę. Skończył on swe dzieło na szczęście dla nas i dla siebie”. Stało się inaczej. Czternaście biografii jakie miał napisać jeszcze Perruchot i nad którymi pracował nie ukazuje się już, gdyż zmarł 17 lutego br. po krótkiej chorobie.

Jego dzieła znane są dobrze polskiemu czytelnikowi. Henri Perruchot pisał o takich malarzach jak Delacroix, Gauguin, Manet, Van Gogh, Cézanne, Toulouse-Lautrec, Renoir, Seurat, Picasso.

Urodzony w Montcaules-Mines 27 stycznia 1917 Henri Perruchot umiera w wieku lat 50, pozostawiając w swym dorobku nie tylko monografię o wielkich malarzach, ale także powieści, eseje i dzieła krytyczne (m. in. książkę o twórczości Montherlanta). Współpracował z czasopiśmiem poświęconym sztuce. Był kilkakrotnie nagradzany. W 1963 roku za swoje dzieła otrzymał Wielką Nagrodę Miasta Paryża.

NAGRODA DLA MŁODEJ POETKI

Literacką nagrodę im. Paul Valéry'ego w wysokości tysiąca franków otrzymała ostatnio dwunastoletnia poetka, Marie-Claude Talbot, licealistka z Poitiers.

DAR ARTYSTY DLA MUZEUM

Amerykański rzeźbiarz mieszkający we Francji, Aleksander Calder (twórca artystycznej konstrukcji „Człowiek”, przeznaczony na wystawę w Montrealu), подарował nowojorskiemu Muzeum Sztuki Nowoczesnej 19 swoich dzieł jako dowód wdzięczności za to, że muzeum to urządziło w roku 1930 pierwszą wystawę jego rzeźb.

SZTUKA CZY NIESAMOWITOSC I DZIWAŃTWO?

W ostatnich latach malarka „Ursula” (właściwe nazwisko — Ursula Schultze-Blum) wystawiła swoje dziwne, baśniowo-fantastyczne obrazy w Niemczech zachodnich, Paryżu i Nowym Jorku. Obecnie galeria w Hanowerze, która przed trzema laty wystawiała obrazy Ursuli, prezentuje nowe jej dzieła: obrazy, rysunki i brzozy.

Dotąd malarka przedstawiała swoje baśniowe, a równocześnie makabryczne postacie ludzi, ptaków, motyli na płótnie lub na papierze, obecnie wprowadziła do swych dzieł trzeci wymiar. Ptaki, skrzydła, oczy i ręce ludzkie wyrastają wprost z płaszczyzny obrazu, tworząc czestokroć samodzielne formy przestrzenne.

W nowych obrazach Ursuli znajduje się cały cykl dzieł zatytułowanych „szafy”, „skrzynie” i „puszki Pandory” — co oczywiście już określa charakter tych obrazów. Jak wiadomo Pandora jest postacią z greckiej mitologii. Była pierwszą ko-

biętą zesłaną przez bogów na ziemię. Posiadała tajemniczą puszkę, której nie wolno było otwierać. Pandora otworzyła jednak puszkę. Wtedy na ziemię wyszły z niej smutki i strapienia. „Puszka Pandory” stała się potem symbolem ludzkich cierpień i trosk.

„Pandoryczne” dzieła Ursuli są pełne naklejonych na płaszczyznę obrazu, piór, czapli, gumowych rękawiczek, części sztucznych szkieletów, szklanych oczu, żyłek, paciorków, lalek, kawałków futra i martwych bażantów.

Wrażenie niesamowitości przy oglądaniu tych „obrazów” jest oczywiste, ale niektórzy twierdzą, że kontrast użytego tworzywa ukazuje „pojęcie absurdu”. Czy Ursula jest artystką naiwną i prymitywną? Niektórzy dopatrują się w jej dziwnych i niesamowitych dziełach podkładu obsesji seksualnych i lekowych. Świat jej tematów i form z pewnością nie jest wynikiem refleksji i namysłu, czestokroć jest mglisty, baśniowy, powikłany i „pandoryczny”.



ROMAN ŁOBODA

„BIAŁA DIABLICA” W TEATRZE JARACZA

Z zabójstwem w dramacie jak z lekarstwem — przedawanie niszczący zamysł. Nadmiar tragedii śmierci, grozi śmiercią tragedii w teatrze współczesnym.

Zapewne współcześni Szekspira cieszyli się większą odpornością i „końskie dawki” otrutych, zaklętych, zarzniętych, zaduszonych, straconych, ukreconych, które im aplikowała „wiktoriańska” dramaturgia, znośli ze zdrowym uczuciem grozy i z należąca powagą potępienia.

Reakcje człowieka dwudziestego stulecia na gremialne

wyrzynywanie się XVI-wiecznych książek i innych moźnych, są trzystopniowe: najprzód budzi się zaciekawienie, później ubawienie, aż w końcu znużenie. Tylko pierwszy nałwni lykają pięty średniowiecznego okrucieństwa tragicznie dygocząc; ale o takich jakże trudno po drugiej wojnie naszego stulecia. Stuznie oburzający się na zdrady i zbrodnie moźnych John Webster jest moralistą swoich czasów. Czarna to i okrutna moralistka z lubością demonstrująca szeroki asortyment śmiertelnych chwytów. Jeżeli nawet to celebrowanie tajemnej agonii na scenie wynikało z krytycznego stosunku autora „Białej diablidy” do nieuczynnych praktyk uprawianych przez warstwy rządzące w Anglii i nie tylko w Anglii, to i tak motywacja polityczna i społeczna jest zbyt wątna, żeby problemem mogło być coś więcej niż dramat zdrady i zbrodni. To jeszcze nie dramat władzy i wielkich namietności. U Szekspira trup też dość gęsto pada, ale jest on, że tak powiem, wytworem mechanizmu zbrodni niezwy-

kle precyzyjnie uzasadnionej psychologicznie. Dlatego szeks pirowscy nieboszczycy nie są natrętni, nie „wychodzą” na pierwszy plan, a stanowią „efekt uboczny” wielkich namietności.

Webster w „Białej diablidy” demonstruje zwyczajne żądze, spotęgowane jedynie bezkarnością działania ich nosicieli. Zemsta, ulubiony motyw autora „Diablidy”, jest autorem wyrzucającym jednego tropuza w zamian za wrzucenie innego. Nie więc dziwnie, że taka prymitywna karuzela nieboszczyków w dobie wyafinowanej automatyzacji po paru obrotach przestaje budzić grozę, nie prowokuje refleksji, a nawet asocjacji — zaczyna na polu śmieszyć, na polu nużyć.

John Webster był po Szekspirze najwybitniejszym dramaturgiem na przełomie XVI i XVII wieku. Nieco starszy od autora „Hamleta”, zdobył sobie poczesne i trwałe miejsce w historii światowej literatury zasadniczo dzięki dwóm wielkim tragediom; jedną z nich jest właśnie „Biała diablida”.

Wystawienie „Białej diablidy” przez Teatr Jaracza na scenie Teatru Rozmaitości (premiery) jest nowym dowodem odwagi i przeźroczności tego teatru. Racje, które przemawiają za wystawieniem sztuki, to jej duża plastyczność, poetyckość słowa i zręczność dialogu; bogactwo obserwacji i nieco wtórna (po Szekspirze), ale z rozmachem własnej wyobraźni zakomponowana akcja.

Rzecz w tym, aby tych niewątpliwych walorów sztuki nie zagłuszała rozpasana „rabanka” niezemu już dzisiaj nie służąca. Jedyną możliwością uwypuklenia istotnych walorów dramatu to pozbowienie zwłok ich pozornej ważności, to przymrużenie oka. — Jak ty moja siostrze, to ja twoja kochankę; jak ty moja kochankę, to ja twoje kardynała itd. Sprzężenie absurdu wybryzmionne aż do granic śmieszności.

Odniosłem wrażenie, że zarówno reżyser jak i aktorzy, zdawali sobie sprawę z szansy jaka potencjalnie zawarta w „Białej diablidy” absurd dla je współczesnej inscenizacji.

Szansa ta nie została wykorzystana dość konsekwentnie i szeroko, o czym może świadczyć nie tyle przerażenie, co znużenie widowni wielkim cmentarzyskiem pod koniec spektaklu.

Mówię konsekwentnie, bowiem wydaje mi się, że w miarę zaciśnięcia desek konku binami, książkami, kardynalami i innymi wybrańcami niebios, „oko powinno coraz więcej się mrużyć”, gest winien być coraz bardziej „kopeliowski” (jak to pięknie w scenie odejścia i powrotu do Orsiniego (Krzysztof Chamiec) Vittoria, jego kochanka (Ewa Mirowska) odegrała gestem w klasztorze dla dziewczek pokutnych i coraz bardziej odrealniony.

Mówię szeroko, bowiem wydaje mi się, że tylko Ewa Mirowska, Jerzy Przybylski (Monticello — kardynał), Jerzy Walczak (Flamino), Krzysztof Chamiec i Sławomir Miśsiurewicz (Camillo) zdecydowanie ciążyli w kierunku tej groteskowej konwencji. Nie wiem czy można było do końca uniknąć uciążliwego patosu wszechmogącej śmierci.

Może przez skrócenie pewnych scen, tych „prawdziwych” a boleśliczych; „krew mroźnych w żyłach”, a analitycznych — jeżeli nie poddawały się biogostawionej deformacji. Wydaje mi się, że w tych ze śmiertelną powagą potraktowanych sekwencjach sztuka drętwiała, a aktorzy odstawali od siebie i od zbyt nieśmiało brzmiącej tonacji.

Alicja Kulikówna (Izabella), Andrzej Herder (Giovanni), Maria Kozierska (Cornelia), Józef Zbróń (Lodovico), Alicja Cichecka (Zanche), dali pokaz rzetelnej gry. Dzielnie sekundowali im pozostali artyści.

Widowiskiem plastycznym nieprzeciętnej urody był sceny zbiorowe: kolorystycznie i przestrzennie zakomponowane grupy. W sumie przedstawienie bardzo interesujące.

John Webster „Biała diablida”. Inszenizacja, reżyseria i dekoracje: Jerzy Grzegorzewski. Kostiumy: Krystyna Wianiewska. Muzyka: Piotr Hertel. Teatr im. Jaracza na scenie Teatru Rozmaitości.

POLONICA

POLSKIE KSIĄZKI W CSRS W 1967 ROKU

Ostrawskie wydawnictwo „Profil”, które drukuje m. in. książki w języku polskim autorów zaochłańskich, przygotowuje w 1967 r. 6 nowych pozycji. W związku z 20-leciem Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego ukazuje się jubileuszowy album, ilustrujący dorobek tej organizacji w minionym dwudziestolecu. W pierwszych miesiącach roku J. Gaudyn ogłosił swe „Fraszki i fraszeczki”, w dalszych kwartałach wydawnictwo zruca na rynek księgarski wiersze dla dzieci H. Jasiczka pt. „Baju-baju z mojego kraju”, „Opowiadania gwarowe” A. Wawrosza i zbiór felietonów Br. Prochera — „Jodły rosną powoli”. Pod koniec roku ukazuje się „Kalendarz Śląski 1968”. Edycją polską „Profilu” kieruje znany poeta H. Jasiczek. Książki tego wydawnictwa będą też do nabycia w Polsce.

POLSCY PISARZE W PARYŻU

W ramach polsko-francuskiej wymiany literackiej bawili ostatnio we Francji: Julian Przybóś, Wisława Szymborska, Beata Sowińska i Wojciech Natanson. Odbyły się zebrań dyskusyjne w Societe des Gens des Lettres, w pięknej siedzibie tego Związku przy rue St. Jacques i we francuskim PEN-klubie (gdzie piękne przemówienie wygłosił Mirosław Żuławski). Ponadto Julian Przybóś mówił w o poezji współczesnej, a Wojciech Natanson na uniwersytecie w Tuluzie i Institut d'Etudes Slaves u paryskich slawistów o polsko-francuskich tradycjach literackich. Po obu odczytach odbyła się ożywiona dyskusja. Okazjami do wymiany zdań stały się również cocktail w polskiej ambasadzie w Paryżu, wywiad przeprowadzony przez wybitnego krytyka, Pierre de Bolseffre, dla radia francuskiego, dyskusja w „Cercle d'Art” oraz spotkanie poetyckie u państwa Brzękowskich. Pobyt pisarzy polskich w Paryżu znalazł echo w prasie („Figaro”, „Le Monde”, „Nouvelles Littéraires” itd.). (W. N.)

NAGRODA DLA POLAKÓW

Na festiwalu telewizyjnym w Monte Carlo, jedną z głównych nagród otrzymał film Petylskich „Wózek”. Został on nakręcony na podstawie słuchowiska radiowego Janusza Krasinśkiego, pod tym samym tytułem, oraz mikropowieści tego autora, opublikowanej przez „Iskry”. W przekładzie niemieckim opowieść Janusza Krasinśkiego wraz z tekstem słuchowiska, zostanie opublikowana przez firmę Suhrkampf we Frankfurcie nad Menem. Słuchowisko nadało radio NRD. Entuzjastycznie pisze o „Wózku” prasa francuska (np. „Le Figaro”).

POLONICA



KROKODYLE W GHANIE

W Ghanie żyją dwa krokodyle. Możliwe, że jest ich trochę więcej, ale tych innych raczej nikt nie widział. Z całą pewnością można powiedzieć tylko o tych dwóch, że są.

W dawnych czasach na Złotym Wybrzeżu, jak zresztą na całym wybrzeżu Zatoki Gwinejskiej, pełno było wszelkiego zwierza. Obecnie, bardzo popularne jest powiedzenie, że najbardziej rozpowszechnionymi zwierzętami w Ghanie są karaluchy. Nie należy oczywiście tego powiedzenia brać dosłownie. Faktem jest jednak, że tzw. „grubego zwierza” brak tam zupełnie. Najwięcej jest węży i żmij. Jest trochę małp. Nie-dużo ptaków. Zdarzają się też podobno tu i ówdzie krokodyle. Ogólnie biorąc jest to wszystko raczej zwierzyna drobna.

Jest to o tyle dziwne, że u wszystkich sąsiadów Ghany znajduje się jeszcze bardzo dużo wielkich zwierząt. Jeżeli weźmie się pod uwagę fakt, że sąsiedzi Ghany to są dawne kolonie francuskie, to z tego by wynikało, że zwierzęta w Ghanie wybili Anglicy jeszcze w czasach kolonialnych. Tak też zdaje się być rzeczywiście. Anglicy bardziej ekscytowali się polowaniami niż Francuzi. Przy okazji nauczyli królów odpowiednich i skutecznych metod polowania zwierząt. Ostatecznie więc resztkę wykończyli sami krajowcy. Dzisiaj, w Ghanie, jeżeli chce się obejrzeć wielkie zwierzęta afrykańskie, trzeba iść do bardzo ładnego ogrodu zoologicznego w Kumasi. Oprócz ten został zapewniony dzikimi zwierzętami za kupionymi w Europie. W ten sposób zwierzęta te na koszt państwa wróciły w rodzinne pielesze.

Otóż, te dwa wyżej wzmiankowane krokodyle mieszkają w Paga. Paga jest spora wioska leżąca na samej północy Ghany, tuż przy granicy z Górną Woltą. Do Paga jedzie się z Kumasi świetną szosą

na północ. Po drodze trzeba się przeprawić promem przez Woltę, piękną szeroką rzekę, o głębokości do 60 metrów i temperaturze wody około 34°C. Potem dojeżdża się do Tamale. Z Tamale poprzez Bolgatangi i Navrongo, wzdłuż granicy z Górną Woltą, dobiega się do Paga.

Paga jest, można by rzec, miejscowością turystyczną, że względu na te krokodyle. Każdy, kto chce zobaczyć żyjące na wolności krokodyle, jedzie do Paga, po czym szybko wraca, bo w Paga ani nie ma gdzie jeść, ani spać. Krokodyle mieszkają w niewielkim jeziorku, albo raczej w dużym stawie. Bagnistym i obrosniętym różnym zielonym z jaskółkami. Staw ten z jednej strony graniczy z buszem, a z drugiej strony z drogą. Zaraz za drogą zaczyna się już pierwsze lepianki Paga. Miedzy drogą i brzegiem stawu rośnie spore drzewo. Brzeg w tym miejscu jest trochę „scho dzony”, a trawy i trzcinę wdeptane, jak przy wodopoju, z którego korzysta było. Te dy to właśnie wychodzą na ląd krokodyle. Sztuka wywoływania krokodyli z bagna zajmują się mali chłopcy ze wsi, za opłatą 10 szylingów.

Staliśmy przy samym brzegu stawu, kilka metrów od tego zejścia w wodę i patrzyłem co się święci. W wodzie nie było widać i nie się nie działo, chociaż krokodyle leżały podobno przy samym brzegu. Tymczasem jednak chłopcy „złapał” sporego kurczaka i przywiązali mu do nogi kilkumetrowej długości sznurek. Jeden z nich podszedł z kurczakiem nad sam brzeg i puścił go. Kurczak chciał uciec, ale sznurek trzy mał go za nos, więc zaczął wydawać różne wrzaski. Trwało to jakiś czas. Nagle, tuż przy brzegu, bardzo blisko nas, poruszyła się w wodzie jakaś wielka kłoda i zaczęła płynąć do wyjścia. Za chwile wynurzył się z wody długi pysk i krokodyl zaczął wychodzić.

Robił to powoli, ociężale, nie śpiesząc się. Nie był zresztą duży. Na pewno nie przekraczał dwóch metrów. Kiedy wyszedł już na suchy ląd, wy

glądał trochę niesamowicie. Szedł powoli, jakoś nienaturalnie wysoko unosząc się na nogach. Robił wrażenie automatu. Za nim wynurzał się z wody towarzyszy. Potężne, grzebieniowate, ciężkie ogony wlokły się za nimi po ziemi. Ten pierwszy, wpatrzony w kurczaka, zbliżał się do niego. Ale chłopak zaczął cofać się do drogi, ciągnąc za sobą po ziemi szamocącego się ptaka. Krokodyl szedł również, ale przy drzewie położył się na brzuchu i nie chciał już iść dalej. Jego towarzysz położył się także kilka metrów dalej, blisko brzegu. Chłopiec z kurczakiem zbliżył się znów. Kurczak szamotał się metr przed pyskiem krokodyla. Ten leżał zupełnie bez ruchu. Miał jednak w sobie coś groźnego. Najgorszy był ten wzrok: nieruchomy, zimny, obojętny, utkwiony martwo w przerażonego ptaka. Żadnej reakcji. Jakichś innych chłopak podszedł z tyłu, chwycił go za ogon i zaczął ciągnąć. Znowu żadnej reakcji. Chłopiec puścił ogon, rzucając go trochę w bok. Upadł ciężko i w tej pozycji pozostał. Chłopiec pozostał również na miejscu, z tyłu krokodyla, patrząc na tego z kurczakiem. Tamten tymczasem podszedł blisko krokodyla i rzucił w jego stronę kurczaka, który przeleciał mu koło samego pyska. Nie dało to żadnego efektu. Kiedy chłopiec szczykował się, żeby powtórzyć ten sam manewr, krokodyl przesuwał ogonem po ziemi podcinając nogi chłopcu, który stał za nim. Chłopak upadł. Powstała panika, ale przewrócony poderwał się błyskawicznie i skończył do tyłu. Krokodyl pozostał obojętny. Kurczak znów przelatywał mu przed pyskiem i kiedy wydawało się, że znówu nic z tego nie będzie, nagle błyskawicznym ruchem poderwał się do przodu i chwycił go w locie. Rozległo się tylko głośne trzaskanie zębów, jakby ktoś zatrzasnął żelazną skrzynkę i krokodyl znów opadł martwo na brzuch, raz tylko przeklnął. Z lewej strony pyska pozostało mu parę zakrwawionych piór. Przez cały ten czas jego towarzysz leżał obojętnie opodal. Przedstawienie skończyło się. Chłopcy zaczęli zaganiać oba okazy do stawu. Wracali bez pośpiechu na brzeg, po czym ciężko zważyli się w wodę.

W parę miesięcy potem mówiono, że krokodyle w Paga pożarły jakiegos księdza. Podszedł podobno za blisko i krokodyl zatrzasnął zęby na jego nodze, po czym zaczął go szybko ciągnąć do stawu. Drugi krokodyl na ten widok ożył natychmiast i błyskawicznie włączył się do akcji. Zanim ktokolwiek mógł coś zrobić krokodyle razem z księdzem zniknęły w bajorze.



Lewym okiem

NASZ WIOSENNY JARMARK

Mimo że zakończone niedawno marcowe targi w Poznaniu miały zasięg krajowy, przyjechała na tę imprezę także pięciosobowa grupa gości zagranicznych. Przyjechali w południe, a doba hotelowa zaczyna się o godz. osiemnastej. Pokoje dla nich zamówiliśmy dwa tygodnie wcześniej, w sławetnym orbisowskim hotelu „Merkury”, klasy pierwszej. Z obsługą na najwyższym poziomie. Przeszedliśmy cztery godziny w kawiarni. O szesnastej recepcja wciągnęła jeszcze nie wiedzieli, które pokoje będą wolne. Widocznie zamówienie potraktowano, tak jak wszystko i we wszystkich urzędach, jako formalność papierkową, która musi być, ale która nie wystarcza, bo naprawdę trzeba i tak sprawę załatwiać operatywnie, to znaczy jeździć, chodzić, konferować, molestować, „szukać kontaktów”. O siedemnastej znalazł się pokój dwuosobowy dla pań, w cenie 380 złotych za dobę. Po sto dziewięćdziesiąt od osoby. Ponieważ kierownik recepcji zapewnił, że pozostali panowie zostaną lada chwila zakwaterowani, zostawiliśmy ich w hallu i wróciliśmy do pracy.

Niestety, nazajutrz zamówienie wcale się nie

liczyło. Pokoju nie było. W recepcji zmienił się urzędnik, i ten nowy znów nic nie wiedział. Po skomplikowanych korowodach wieczorem ulokowano wreszcie gości w pokoju trzyosobowym, o dwa pietra wyżej niż pań, za cenę 720 zł, czyli dwieście czterdzieści złotych za noc od osoby.

Owi goście zagraniczni przyjechali służbowo i mieli limity na hotel. Nie mogli zrozumieć, dlaczego pokój trzyosobowy jest droższy od dwuosobowego, dlaczego jego koszt przekracza ich wysoki limit, dlaczego musieli o pokój staczać boje, skoro uprzedzili dawno o swoim przybyciu.

Wieczorem wyszli na kolację. Wszystkie lokale, mijane po drodze, huczały od tłumy podchmielonych „handlowców” z tak zwanego terenu, przybyłych na poznański jarmark. Nie ma mowy o wejściu i znalezieniu stolika. Wrócili więc i prosili telefonicznie o podanie kolacji do pokoju. Sześć razy (słownie: sześć) odpowiadano, że: już — już, już kelner idzie. Długo szedł. Wreszcie raczył się zjawić z tacą kanapek, zimną herbatą i rachunkiem. Wypadło po sto trzydzieści złotych na osobę.

He pan ma dziennej diety? — pytali mnie przerażeni. Sto złotych? To jak pan daje radę? Wyjaśniłem, że oprócz diety dostaje przeciętną pensję i premie. Bardzo się śmieli, nie wiem dlaczego. Jeszcze bardziej by się śmieli, gdyby wiedzieli, że dieta wynosi dwadzieścia jeden złotych, a dwadzieścia jeden złotych w czasie targów w Poznaniu można zjeść lekkie, wiedeńskie śniadanie. Potem zresztą — jeśli chodzi o pewną kategorię pracowników, do której mam zaszczyt należeć — i tak nie ma czasu na następne posiłki, aż do późnego wieczora. Wieczorem wszędzie obowiązuje konsumpcja obowiązkowa czytają: wódka, a przecież oczywistym jest, że służbowo nie mam obowiązku pić wódki i zwracanie jej

kosztów w formie podwyższonej diety byłoby czymś wysoce niemoralnym. Wobec czego z kategorii pracowników, do której mam zaszczyt należeć, zawsze w czasie targów przynajmniej parę sztuk (piszę to świadomie: sztuk) zabiera pogotowie za sprawą różnych kolek, spowodowanych na przykład skwaszoną grochówką z zimnym boczkim, spożytą na targach w barze na terenie targów.

A mimo to — na Targi Krajowe walać coraz większe tłumy z całej Polski. Wszyscy służbowo. Całe drużyny i plutony z każdej hurtowni każdej branży, z setek zakładów produkcyjnych, z dziesiątków instytucji, uważających że bez ich udziału impreza byłaby niedoskonała. Przypuszczam, że samą kontraktacją, to znaczy sprawą, dla której organizuje się całą historię, zainteresowany jest naprawdę do dziesiątych z tych, którzy przyjeżdżają do Poznania. Reszta to kibice, robiący tłok na stoiskach i w hotelach, w kinach i w knajpach. Akurat w czasie targów umawiają się tu na „konsultacje” i konferencje, załatwiają — czy raczej udają, że załatwiają — jakieś sprawy uboczne, a to znaki fabryczne, a to kulturę sprzedaży, a to estetykę opakowań, ciągną za sobą orszaki sekretarek i „branżystów”, byczą się za przeproszeniem doprowadzając do pasji tych dziesięć procent, którzy harują tu ciężko po kilkanaście godzin dziennie o szklance zatańsko mocnej kawy.

Nie piszę zresztą reportażu, choć temat aż się o to prosi. Nikt go jeszcze nie napisał, choć na każdym Targach Krajowych uwoją się dziesiątki dziennikarzy, robią atmosferę, pytają, fotografują, a potem i tak opublikują co innego. Właściwie to miało być tylko o Targach czymś cudzoziemca. Takiego z przekroczonym limitem hotelowym, oczekującego na kanapki z zimną herbatą w najelegantszym hotelu kraju.

CWIEK